



STOWARZYSZENIE HARCERSKIE  
ODDZIAŁ WARSZAWSKI

No 37

„SĄDZONE MU BYŁO...”





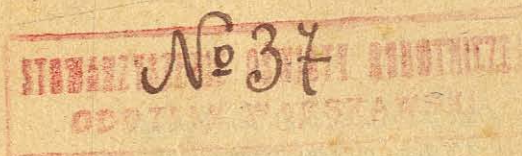
BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO  
WYCHODZI 3 RAZY W MIESIĄCU  
REDAKTOR I WYDAWCA IGNACY PŁĄŻEWSKI

ROK WYDAWNICTWA TRZECI-TOM 15.

OG. ZBIORU T. 77.

JAN KOWERSKI.

ZBIORY PRYWATNE  
W. M. Kowalik



# „SĄDZONE MU BYŁO...”

(„ATENEUM” 1896)

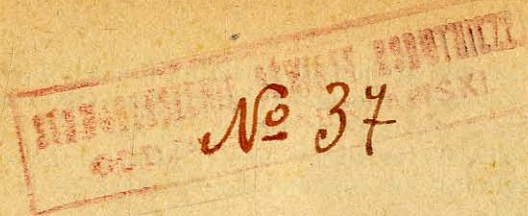
BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO  
WARSZAWA



Okladkę projektował Jan Pohoski.  
Tłoczono w Zakł. Graficznych  
B. Wierzbicki i S-ka  
w Warszawie.



k-52180/114682



Przez cały dzień fornale wywozili drzewo z lasu. Kloce były tęgie, a droga strasznie ciężka; nabiedowały się koniska, ledwo dech w nich się trzymał wieczorem, a ludzie nadzwigali się tyle, że im się już i kłać odechciało.

W lesie — jak w lesie: pomiędzy staremi sosnami dębczaki spore, grabczaki jak miotliska, krzaki leszczyny biją po twarzy. Sosnę trzeba spuścić tak, żeby młodej drzewiny nie wyłamała, a potem gałęzie obciąć, a kłoce na furę kłaść, żeby koni nie okaleczyć i wozu nie przetrącić. A tu błoto: zamróz puścił całkiem, glina, z jesiennym liściem zmieszana, czepia się bucisków, jak smoła. Ciężka wywózka — bo ciężka, ale nic nie pamożel! materiał trzeba sprowadzić; obora zbakierowała się na szczerę, dziedzic musi nową stawiać. Że zima kiepska i przed Gromniczną już błoto się zrobiło, to niczyja wina!

Radzili sobie fornale, jak mogli: któremu było gorąco — kozuch zdejmował, czapkę na bok rzucił, a dzwigał, byle prędzej, bo wieczory ciemne, byle na kolację do chałupy wczas zdążyć po wieczornym obrządku. Sobota była; każdy myślał: w niedzielę odpocznę.

Przywieźli po trzecim klocu, zwalili na gumnie, konie wyprzęgli, napoili, pozasypywali obrok i rozeszli się do domu, powoli wyciągając z trudem w rozbagnionej topolowej ulicy zmęczone nogi, obute w ciężkie buciska.



Kiedy wszyscy wychodzili ze stajni, Maciek Jar-  
moł ścigał z siebie zabłoconą sukmanę i zawołał za  
odchodzącymi:

— A powiedzta tam który mojej kobiecie, żeby  
mnie nie wyglądała z kolacją, bo — musi — nie  
przyjdę.

— Bo co? — spytał Paklepa.

— Łeb mnie boli, jeść mi się nie chce..

— No, no — to powiem.

Maciek zamknął drzwi. W stajni zrobiło się cie-  
mno, ale też i ociepliło się odrazu. Wszedł do zagro-  
dy, gdzie stały jego konie; poczęstował gniadego ku-  
łakiem za to, że się nastąpić nie chciał, namacał rę-  
ką, czy łańcuchy dobrze do krążka przywiązane,  
schylił się i — stękając — wsunął się pod żłób.

Było tam słomy dość, pod żłobem, pomiędzy  
ścianą i dwiema deskami, które równolegle do niej  
były umocowane i stanowiły przegródkę na ściółkę.  
W słomie chowały się: widły, zgrzebło, maniak na  
obrok, jakiś porwany postronek i biczownik. Z tru-  
dem usunął Maciek na bok biczownik i widły, we-  
pchnął trochę słomy w maniak, głowę na nim poło-  
żył i wyciągnął się do snu, otuliwszy się kożuchem  
i zabłoconą sukmaną. Coś go jednak w bok gniotło.  
Przypominał sobie, że to kawałek chleba, który za-  
brał po obiedzie z chałupy. Chleb, zawinięty w szma-  
tę, schowany był za pazuchą. Maciek rozwinął chleb  
ostrożnie i spróbował zjeść trochę; wydał mu się  
dziwnie twardy; a kiedy szukał kozika, który nieod-  
stępnie nosił na rzemieniu przy pasku, zrobiło mu się  
nagle bardzo zimno.

Zaczęło nim trząść, jak gdyby mróz przebiegał  
po kościach. Wypuścił chleb z ręki, kożuch naciągnął  
na głowę, skurczył się na posłaniu i trzęsącymi się  
rękami rozcierał długo ramiona i piersi. Dreszcze  
przechodziły i wracały znowu; na ciało tymczasem

wystąpił pot kroplisty, ale zimny. Maciek chciał zmó-  
wić pacierz, nie mógł jednak z pamięci dojść ładu;  
siły go opuściły i zamroczyły się myśli. Kiedy się  
ocknął po chwili, postanowił iść ze stajni do domu.  
Lękał się jednak ruszyć: może nie dojdę?

Na szczęście, dreszcze ustały i zrobiło mu się  
ciepło, bardzo ciepło, potem gorąco. Wysunął głowę  
z pod kożucha, obtarł rękawem pot z czoła, poprawił  
się na słomie i zajęła go myśl: co mu też jest?

— Łeb mnie boli — medytował — juźci pewni-  
kiem z tego, com jest czczy.. ale nie, bo mi się jeść  
nie chce... musi to z dźwigania krew się strzymała...  
trza będzie do baniek iść, albo może krwi spuścić —  
jak tam Dawidek doradzi. A Dawidek, to nie jakiś  
zwyczajny żyd, ino taki „fleczer“, co go okolica zna  
cała, bo on wie, co komu doradzić.

Skrzypnęły i otworzyły się drzwi do stajni, wpu-  
szczając powiew zimnego wiatru.

— Maciek! — zawołał ostry, trochę ochrypy głos  
kobiцы.

— Czego chcesz? — odezwał się Jarmoł.

— A ty czemu nie przychodzisz do chałupy?

— Bom słaby.

— Juźci słaby! A mnie kto narąbie drzewa na  
jutro?

— Kiej ci gadam, żem słaby.

— E, ot! ległeś — to i leżysz; jakbyś wstał —  
tobyś chodził.

— Ciężkość mam we łbie i w piersiach... — tłó-  
maczył się Maciek.

— Tobie się widzi, że mnie to letkość! — pisz-  
czała kobieta — jutro niedziela, ani szczapy rąbanej  
niema.

— Idź, idź! — zawołał głośno chory — gęby nie  
psuj, drzwi zamykaj, bo na mnie zimno, jak na psa-  
leci.



— O, widzita go! ja to musi na słonku się wygrzewam... Powiadam ci, żebyś zara do chałupy szedł... słyszysz?

— Nie pójdę, daj spokój, Jagna. Wojtek z dziewczuchami drzewa nałupie.

— Bodajesz ty skamienia! — krzyknęła Maćkowa — żebyś ty miał sumienie dzieci po nocy do rąbania gnać! Mało się słomy od maszyny nadzwigały!

— A ja tom klocków nie dzwigał, co?

— Toś ty na to chłop, żebyś robił. Aleś ty się tu powalił pod żłób, bo ci się w chałupie pomóc nie chce.

Maciek zmilczał. Przez krótką chwilę słysząc było tylko świst wiatru, wciskającego się we wszystkie kąty stajni.

— Przyjdiesz ty, czy nie? — zaczęła znowu kobieta — kolację ci dam, bo jest.

— Nie przyjdę — odparł Maciek.

— No to leż! Nieszczęsna moja godzina z takim chłopem!

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a ze dworu słysząc było jeszcze głos podniesiony:

— Oto dopiero... to ci dopiero!...

Maćka znowu porwały dreszcze. Zdawało mu się, że gdyby na dworze leżał, nie byłoby mu zimniej. Nie czuł na sobie kozucha, ni sukmany; skostniałe ręce przycisnął do ciała, a szczęki tak mu drżały, że aż w głowie szumiało.

Maćkowa Jagna wróciła do chałupy mocno wzburzona. W izbie tliły się jeszcze węgle na kominie, a mała lampka naftowa, zawieszona na ścianie, nisko, tuż przy oknie, rzucała słabe światło na najbliższą ławkę i stojącą obok skrzynię.

Starsza córka Jarmołów, Kaśka, kończyła zmywanie misek i garnków po wieczery; młodsza, Maryna, w rogu izby, pode drzwiami, myła się na ju-

trzejszą niedzielę. Najstarsze z dzieci, Wojtek, na ławie, pod oknem, zeszywał rozpruty rękaw kozucha, ośmioletnia Hanka przypatrywała się tej robocie, przecierając co chwila zaspane oczy; najmłodsze, Jantek i Zośka, spały już na tapczanie, wsuniętym pomiędzy komin i ścianę, przykryte starą matczyną sukmaną.

W izie, pomimo przenikliwego zimna na dworze, gorąco było i duszno. Rodzina Jarmołów miała dla siebie i swoich ruchomości dziewięć łokci miejsca wzdłuż, siedem wszere, i trzy i pół łokcia ma wysokość. Piec chlebowy wraz z ogrzewalnym zajmował sporą część tej niewielkiej całości.

— O, la Boga! mróz! — zawołała wesoło Maryna, w chwili, kiedy matka otworzyła drzwi i nie śpięszyła się z zamknięciem, objając na progu błoto z butów. Maryna mogła czuć chłód, stała bowiem nad szaflikiem, obnażona do pasa, oblewała czerwoną szyję i tarła ją jeszcze bardziej czerwonymi rękami.

— Poszłabyś, głupia, do sieni z tem myciem! — ofuknęła matka — chałupę całkiem zalejesz.

— A tatulo idą? — spytała Kaśka.

— E, musi nie idą — zgadł Wojtek.

— Gdzie mają iść! — odparła Maćkowa — położyli się pod żłobem i leżą... Idź ino, Wojtek, póki czas, udziabac drzewa.

Wojtek nie śpieszył się; miał jeszcze kilka ścięgów do zrobienia, a szło mu to szycie dziwnie trudno, bo chociaż igła była gruba, jak szydło, palce jednak nie mogły jej utrzymać.

— Psiakość... — mrucał — wykręca się, jakby żywa...

Małej Hance każde zniecierpliwienie się brata sprawiało wielką uciechę. Zaśmiała się i teraz, podskoczyła na miejscu parę razy i powtórzyła z lubością:



— Psiakość! jak żywał  
— Hanuś, spać! — zakomenderowała matka i posadziła dziewczynę na tapczanie, koło śpiących, najmłodszych dzieci.

Wtem Hanusia podniosła lament wielki; krzyczała wśród łez jedno tylko słowo:

— Papi-i-i-rek!

Chodziło jej o kawałek papieru, który sobie ze dworu przyniosła. Brudny papier odnalazł się w kieszeni Wojtka, schowany jako materiał do skręcania papierosów; Hanka wsunęła go za koszulę i ułożyła się do snu.

Kiedy Maćkowa pomagała Kaście ustawiać naczynia na półce, Wojtek skończył szycie, igłę zatknął w ramę okna, koło szyby, wziął kozuch na ramię i wymknął się z izby.

— Tatulo bardzo narzekają? — spytała Kaśka.

— Co mają narzekać! — ruszyła ramionami matka.

— Kolacji nie jedli... — żałośnie odezwiała się Maryna.

— O, to ci nieszczęście! — rzuciła niechętnie Maćkowa — tobie ino miska w głowie. Nie pilno ojcu do chałupy, bo wie, że go rąbanie czeka... Idź, wyjrzyj na dwór: czemu Wojtek nie rąbie?

Maryna nie znalazła Wojtka.

— Leć ty, Kaśka, szukaj tego przeklętnika — zawołała matka — on pewno u owczarza, albo u stelmacha siedzi.

Kaśka także wróciła z niczem. Chłopak Szuraja mówił, że Wojtek poszedł spać do stajni.

— A co! nie mówiłam! — krzyczała Maćkowa — nieusłuchana jucha! Takusieńki będzie, jak i ojciec: ociec całą robotę na baby zwala i ten bęcwoł to samol.. A ruszta się wy, dziewczyny, do drzewa...

Kaśka z Maryną wyciągnęły siekiere z pod tapczana i poszły mocować się z pniakiem, przywiezionym z karczunku.

Wojtek rzeczywiście prosto z izby skierował się ku stajni.

— Niech se urabia, kiedy im trza — myślał.

Wszedł do stajni ostrożnie, pomaleńku i położył się pod źłobem Paklepowych koni. Chodziło mu bardzo o to, żeby nie obudzić ojca, który mógłby go o drzewo zapytać. Ale Maciek nie odezwał się wcale, słychać tylko było, od czasu do czasu, głośniejszy oddech, podobny do stękania. Po chwili stękanie stało się już wyraźne.

— Kto tu przyszedł? — jęknął Maciek.

— Oho, obudził się! — pomyślał Wojtek — nie głupim się odzywać.

Maciek poruszył się na słomie.

— Oj! bójcie się Boga, ludzie! odezwij się tam który...

Wojtek mimowolnie odpowiedział:

— To ja.

— Ty, Wojtek?

— Ja, tatu; co wam się tam przyśniło?

— Oj... pić...

— Albo co?

— Bardzo mnie we wnętrzu pali... gardło mi wyszło...

E, śpijta, tatu, dalej! — doradził Wojtek.

— Nie mogę spać — skarżył się Maciek.

— Bodaj tak temu prawda była — mruknął chłopak — dopiero słyszał, jak chrapał!

— Daj, dziecko, pić! — prosił chory.

— Cóż wam poradzę? We stajni wody niema...

— Przynieś, dziecko, ze studni, przynieś...

— A w czymże przyniosę? w garści?



— Oj, prawda, niema w czem... możeby z chałupy?...  
— Gdzie tam z chałupy! — przerwał Wojtek, — tam już śpią. Śpijcie, tatulu, i już.

— Możeby z pańskiej kuchni, albo z czeladnej?  
Cichy, prawie nieśmiały głos ojca, dodał chłopcu odwagi.

— Dalibyście, ot, spokój! Kto widział po nocy wody szukać. Ciemno na dworze, choć w pysk bij. Jak matka przychodzili, toście wtedy nie gadali...

— Bodajeś ty zmarniał! — zaklął chory.

Wojtek udał, że nie słyszy. Zakopał się w słomę i zajęła go myśl: czy też da mu jutro ojciec w łeb, czy nie da? Niedługo jednak dręczyła go niepewność, bo zasnął twardo.

Kiedy nazajutrz rano fornale przyszli do stajni zasypywać koniom obrok, Wojtek skorzystał z chwili i poszedł do chałupy.

— Co tam, oćiec wstali? — spytała Maćkowa, która rozpalala już ogień na kominie.

— Gdzie zaś! śpią aż strach — odparł chłopak.

— A w nocy narzekali?

— Ale skąd! spoczywali, jak trzeba.

W izbie nastąpiło ogólne ubieranie się z okazji niedzieli.

Dziewczyny umyły się już były poprzedniego wieczora, teraz więc wyczesaly się starannie, wygładziły włosy rękami, wprzód suto wysmarowawszy dłonie smalcem i przywdziały wierzchnie spódnice i fartuchy czyste. Włożyły nawet pończochy, bo miały pójść do kościoła.

Wojtek wziął wody w garnek, stanął w sieni nad szaflikiem, brał pełne usta wody, w garście szczelnie złączone, pluł i obmył twarz dokładnie. Następnie ręce długo tarł w szafliku; a kiedy z szaro-

zółtych stały się jasno szare, rękawy koszuli zastąpiły ręcznik.

Smarowanie butów oliwą, którą zawsze przynosił od młocarni Paklepa i w drodze łaski pokrywajemu rozdawał potrochu dobrym znajomym, sporo zabrało czasu. Samo ubieranie prędko już poszło.

Po śniadaniu, dziewczyny udały się do kościoła w miasteczku, Wojtek zaś miał pójść za niemi, wprzód jednak zawrócił do dworu po zapłatę za tygodniową robociznę.

Dzieci spały. Maćkowa okrzykiem głowę chustą i postanowiła zajrzeć do obory; nakłękła pastuchowi za to, że słomy za mało przynosi i odbyła ze stelmąską zwykłą coddzienną naradę nad tem: dlaczego święta ziemia nosi dotychczas takiego gałgana, jak ekonom, albo i takiego gumienego!

— O sobie to uni pamiętają, nie bój się...

— Ojej, ojej! — potwierdziła stelmąska Pawłowa.

— A nasza krowina przez wszyckiego obywać się musi!

— Od lutrów juchy gorsze! — zaryzykowała stelmąska.

— O, Matko Boska! pewnie co gorsze!

— Niedługo trza się będzie zabierać z tego dworu...

— Jużci, że nie co inszego, ino tak!

Zabierały się w ten sposób obie baby od lat trzech. Tymczasem uwagę ich zwrócił jakiś gwar koło stajni. Słychać było głosy: Paklepy, Szuraja i gumienego, ale górował bas ekonom.

— Musi, swoim zwyczajem, Paklepa coś ściągnął, — zauważyła Pawłowa.

— Już ja tam nie pójde, — rzekła Maćkowa, której oliwa na smarowanie butów stanęła w pamię-



ci, — chciałam swego na śniadanie zwołać; od wczorajszego południa nie jadł...

— Abo co waszemu było?

— Nic mu nie było; nie chciało mu się iść... zwy-  
czajnie chłop: nie chce mu się — i tyle!

— A ino, to tak, jak z moim: chce mu się — do-  
brze; nie chce mu się — to sobie nieda roztłomaczyć.

— Ach, Matko litościwa!...

I Maćkowa wróciła do chałupy. Pawłowa nie mogła wytrzymać, żeby się nie dowiedzieć o co obwi-  
niają Paklepe. Był to jej kum, a przecie ogromnie lubiła słuchać, jak go za grzechy łajano. Pawłowa tedy, posuwając się zwolna wzdłuż płotu, zbliżyła się do stajni, a ukrywając się za pień topoli, wyteżyła oczy i uszy.

Szuraj trzymał na uździenicy chudą, dereszowatą kłacz, „młynarką” przez ekonoma nazwaną. Paklepa, którego pieczy kłacz ta powierzona była, stał opodal, wielce zafrasowany. Ekonom z gumiennym obchodzili kłacz dokoła, zagłądali jej w oczy, w zęby, szturchali w boki, w piersi — i tręcali laskami po nogach. Kłacz miała łeb i nogi silnie opuchłe i wyglądała tak, jak-gdyby bardzo chciała położyć się i nie wstać.

— Zdrowiusienka wczoraj była, — zapewniał Paklepa.

— I wodę dobrze piła, — dodał Szuraj — samem widział.

— Musi zołzy, — zaopiniował gumienny. Oczy-  
wiście głupstwo zrobił, bo nie należało mu mówić przed ekonomem.

To też ekonom spojrzał pogardliwie:

— Takie gadanie, to tylko gębę psuć! Gdzież tu zołzy?

— A coby inszego było taka spuchlizna?

— To jest z zatkania kałduna, rozumiecie?

— Ino marchew jadła... — wtrącił Szuraj.

— Musiałeś ty, gałganie, jęczmienia z pod maszy-  
ny złapać! — zwrócił się ekonom do Paklepy.

— My wczoraj nie młócili, — przypomniał gu-  
mienny.

— Ja mogę przysiądz nie raz, ale dziesięć ra-  
zy... — zaczął Paklepa.

— Nie potrzebuję złodziejskiej przysięgi, — prze-  
rwał ekonom, — ty czy przysięgniesz, czy nie, to zaw-  
sze zeżłesz.

— O, to, to, to... tobie kumciu! — szepnęła z nie-  
wysłowioną radością Pawłowa i aż się wychyliła zza  
topoli.

— Baba, do garczkwów! — krzyknął ekonom, któ-  
ry miał oko i ciągnął dalej: — rozdeło ją z zatkania...

— A toby jej, proszę pana, brzuszysko wysadzi-  
ło, a nie łeb i nogi — ośmielił się wtrącić Szuraj.

— Ty się znasz, jak but na wiechciu, — ostro  
odparł pan Trąbkiewicz, — wziąć mi zaraz słomy  
i rozcierać kobyłę, het, całkiem, a potem jednemu  
siaść i kłusem, słyszysz? kłusem pojechać, żeby się  
zagrzała. Na kogo dziś kolej w stajni?

— Na Jarmoła.

— Gdzież on jest?

— Chory, panie, od wczorajsza — objaśnił  
Szuraj.

— Oho, już sztuki pokazuje! Chory — bo nie-  
dzielna kolejka przyszła.

— On, panie, prawdziwie słaby... leży pod żło-  
bem, niech pan zobaczy.

— To ty, baranie, chcesz, żebym ja do niego pod  
żłób przy świętym dniu laźł. Sprzykrzy mu się — to  
wstanie.

I ekonom poszedł do dworu, aby asystować przy  
niedzielnej wypłacie; gumienny zawrócił do obory.  
Szuraj z Paklepą stali przy kłaczach, dopóki ekonom



nie zniknął w dworskiej sieni, a kiedy go z oczu stracili, Paklepa rzekł:

— Co my ją mamy słomą trzeć? Głupi on jest, okumon, i już! Siadę i przejadę, żeby się zgrzała, kiedy ma się zagrzać.

Wziął z pod płotu kawałek tyczki, siadł na klacz i, grzmocąc ją po chudych bokach, a tłukąc obcasami pod zebra, zmusił szkapę do ruchu i wyjechał za wrota, na drogę do miasteczka.

— Proszę łaski pana „młynarka” chora, — raportował dziedzicowi p. Trąbkiewicz.

— No cóż jej jest?

— Nogi spuchły, jak konewki, łeb, jak bania.

— Któż to mówił?

— Ja sam mówię, bom widział, przepraszam pana.

— Jakże to... tak nagle?

— Piorunem, w jedną noc!

— Niech zaraz który tam zaprzęgnie do zielonej bryczki i po doktora jedzie; może Maciek...

— Maciek podobno słaby, proszę pana.

— A cóż temu znowu się zrobiło?

— E, nic mu nie będzie — machnął ręką ekonom.

— To kogo innego wypraw pan zaraz; doktor i Maćka obejrzy.

— Bez urazy wielmożnego pana, co taki doktor może „młynarce” poradzić? Pieniądze weźmie...

— Mówilem już kiedyś Trąbkiewiczowi, żeby przedemną ze swoim zdaniem o doktorze nie występował.

— Słucham, wielmożny panie, i pamiętam, ale co taki doktor może się poznać? Taka kobyła, jak „młynarka”...

Dziedzic zaczerwienił się mocno i już miał wybuchnąć, kiedy nagle zrozumiał, o co chodzi.

— Niech djabli wezmą! — zawołał — prosiłem, żeby mi konia nie chrzcic... gadać: dereszka spuchła

i koniec. Jeżeli głowa spuchła i nogi, to influenza. Postawić, do roboty nie ruszać...

— Kazałem Paklepie, żeby ją doskonale przekłusował, do jutra puchlina zejdzie, to, proszę pana, z zatkania, ja się znam, — pochwalił się ekonom.

— Zjadłeś licha z tem zatkaniem! — zawołał dziedzic — idź, niech klaczy nie ruszają, bo zdechnie.

Pan Trąbkiewicz wyszedł, mocno przekonany, że dziedzic tyle się zna na końskich słabościach, co doktor na ludzkich chorobach, czyli, że obaj ci panowie nic nie wiedzą.

Przyszedłszy do stajni, nie znalazł ani Paklepy, ani dereszki.

— Pojechał, psia dusza, pilno mu było! Oczywiście będzie z tego kłopot, bo pan nie kazał ruszać klaczy. Trąbkiewicz wpadł w pasję tem

silniejszą, że nie było nikogo pod ręką do łajania; sam sobie zaś nie zwykł był robić wymówek. Miał wychodzić, kiedy usłyszał poruszenie się Maćka na słomie.

— Słuchaj, ty, czego tam leżysz? — wrzasnął.

— Słabym, panie, słaby...

— Nie łżyj! wyłaż mi zaraz!

— Nie mogę, panie, całkiem mnie rozebrało.

— A, jak Pana Boga mego kocham! słyszysz co mówię?

Maciek nie odezwał się. Ekonom przebiegł pomiędzy koniami i przysiadł na podłodze, żeby móc zajrzeć pod żłób.

— Czekaj-no! — mruknął — ja cię ozdrowię...

Zadziwiło go, że Maciek czeka; ale, spojrzawszy na twarz leżącego, osłupiał.

— Coś ty tak szerniał na gębie? — zapytał ciszej.

— Nie wiem, panie...

— A co tobie jest?

— Kolka straszeczna, dychać ciężko...



— Na kolację coś jadł?

— Nic, panie.

— Na co łąć! grochu, albo bobu zeżarłeś?

Maciek zmilczał.

— Widzisz, ty, wałkoniu jeden! — stanowczym, ale zupełnie spokojnym głosem tłumaczył ekonom — wszystko z tego łakomego żarcia waszego. Krew się strzymała, bo kiszki nie puszczaają... Brzuch oliwa wysmarować, naparstek aloesu i garść „lamberskiej” soli z apteki wziąć...

— Maciek! — odezwał się w progu głos Jarmołowej.

Trąbkiewicz wyprostował się i wyskoczył na środek stajni. Nie wypadło mu przy babie poufalić się z fornałem.

Maćkowa stała we drzwiach przerażona: była pewna, że ekonom jest u dziedzica. Trąbkiewicz wielką miał ochotę zbesztać babę i już mu się wasy srogo jeżyły, ale się przecie wstrzymał.

— Weź go do chałupy — rzucił — czego ma tu gnić pod żłobem? Jednego chłopca masz, a nie dbasz o niego!

Potracił babę w progu i odszedł szybko. Maćkowa stanęła koło koni.

— Jeszcze słaby? — spytała.

— A ino.

— Ja dla ciebie mleka sprząyla, chodź!

— Jeść mi się jakoś nie chce.

— O! co ty znowu! Chcesz, to ci klusków zrobię, chcesz, to kapuśniaku, albo jagieł dam ze słoniną...

— Nie, nie... ale do chałupy tobym poszedł.

— No, to chodź, po tom przyszła.

Maciek spróbował podnieść się i wyjść z pod żłobu, ale nie mógł.

— Oj, kolka! — stęknął i osunął się napowrót na słomę.

— Pomogłabym ci, ale się koni boję — rzekła kobieta — próbuj, Maciek, próbuj se pomaluśku, to wyleziesz.

Jarmoł rzeczywiście wygrzebał się powoli bez niczyjej pomocy, wyszedł na stajnię i oparł się o ścianę. Nogi drżały pod nim, a odzież ciążyła mu na ramionach, jak ołów. W ciągu jednej nocy zmienił się bardzo: zmęczenie wielkie znać było na tej twarzy, która przybrała kolor starej deski; zmarszczki dokoła oczów, na czole i wzdłuż policzków wydawały się głębsze, niż zwykle, a małe oczy mętnie spoglądały z pod nasuniętych powiek. Usta spieczzone chwytały powietrze z wysiłkiem; z pod rozpiętej koszuli widać było żółtą zapadłą pierś, podnoszącą się przy oddechu.

Maćkowa zawiązała kołnierz koszuli grubą nitką, zapięła na chorym sukmanę i pomogła mu kożuch zarzucić na plecy. Wyszli ze stajni: ona naprzód, on za nią. Nie przyszło jej na myśl prowadzić go lub podtrzymywać, w przekonaniu jej i wszystkich wiejskich kobiet — chłop zawsze mocniejszy jest od baby i go dzi się ciągnąć go za rękaw lub pod bok podpierać tylko wtedy, kiedy jest trochę pijany.

Przez drogę nie mówili do siebie wcale; on, postępując i dysząc głośno, szedł środkiem błota, bo nie miał siły wybierać suchszych miejsc; ona nie oglądała się na męża, zajęta myślą, żeby błota w niedzielne trzewiki nie nabrać. Koło czworaków spotkali stelmaszkę i kowala, dalej parobków kilku, wszyscy ci współsłużący patrzyli na Maćka bez ciekawości, bez żadnego zainteresowania.

Chory? Każdy z nich chorował choć raz w życiu i nikogo to bardzo nie obchodziło. Choroba — to przytrafunek, o! taki jak grad na zboże. Przyjdzie,



to trza wycierpieć; nie bardzo zmizeruje człowieka, to dobrze, a jeżeli całkiem z nóg zbije, to na to nie-ma rady!

Ledwo Maciek położył się na łóżku, Jagna ka-zała mu napić się mleka. Nie chciał, bronił się, ale musiał wypić; a że po mleku uczuł pragnienie i o coś kwaśnego wołał, więc mu kobieta postawiła barszczu garnuszek. Wypił i barszcz, co żonę mocno ucieszyło; radziła mu, żeby zjadł kartofli, albo sera, ale tych stanowczo odmówił. Dała mu pokój.

— Nie jest już czczy — myślała — niech wypo-czywa.

Chory obrócił się twarzą do ściany i leżał cicho.

Wojtek wpadł do izby; przyniósł pieniądze z wy-płaty i miał iść do miasteczka. Zaniepokoila go obec-ność ojca; ale Maciek zdawał się nie słyszeć Wojtka; a może wczorajszą odmowę syna uważał za rzecz zwykłą...

Jarmołowej tymczasem przysłała szczęśliwa myśl do głowy.

— Czekaj, Wojtek, pójdę z tobą i ja; trza dla ojca mięsa wziąć, żeby mocy lepszej nabrali.

Nie byłaby się nigdy zgodziła powierzyć kupna dzieciom. Kupowanie — to tak wielka, a rzadko zda-rzająca się przyjemność, że o zrzeczeniu się jej na korzyść dzieci nie może u biednych ludzi być mowy. Jarmołowie jadalili mięso z urzędu: na Boże Narodze-nie, na Wielkanoc, na Zielone Świątki i w *kusaki* — to jest raz w zapusty; zresztą nie mieskali go na swoim stole więcej, niż dziesięć razy do roku. Maćkowa była przekonana, że po zjedzeniu mięsa zapas sił przyby-wa w tej chwili; ilekroć wracała od rzeźnika z za-winiętą w szmatę kością, do której dodana była od-robina mięsa i sporo ścięgna, zawsze myślała, że wszyscy zazdroszczą jej tego zbytku. Wybierała się teraz do miasteczka z gorączkowym pośpiechem.

Jantek i Zośka zostawały na opiece Hanki, która, choć sama dzieckiem była, rozumiała dobrze obo-wiązki na niej ciążące, nieraz bowiem małe, chude plecy odpowiadały za zapomnienia wiecznie rozczochranej główki.

Maćkowa przed wyjściem z chałupy pochyliła się nad łóżkiem męża, a widząc, że ma oczy zamknię-te, ucieszyła się, że zasnął. Na odchodnym rzuciła przestrozę:

— Żebyś mi, Hanuś, z izby nie wylaziła; posprzą-taj, dzieci pilnuj, a jakby ojciec jeść wołał — mleko na kominie stoi; ja niedługo przylecę i sama obiad nastawię.

Kiedy za matką i za Wojtkiem drzwi się za-mknęły, Hanka przystąpiła do sumiennego spełnia-nia roli gospodyni i opiekunki. Zośkę posadziła na tapczanie i dała jej do zabawy drewnianą łyżkę i dwa surowe kartofle; Jantek postawiony został przy Zoś-ce, żeby ją od spadnięcia chronić i otrzymał kilka wiórów, patyk i sznurek na bat; główna opiekunka zaś zabrała się do zamiatania izby. Robota poszła wcale nieźle: wprawdzie wszystkie śmiecie zostały zepchnięte pod łóżko ojca, ale środek izby wyglądał czysto, a właśnie o to chodziło. Hanka wiedziała, że wymiatanie ze wszystkich kątów i z pod gratów tylko przed głównymi świętami miewa miejsce. Szaflik z pomyjami i obierzynami kartofli, w którym wieprzak znajdował śniadanie, należało wystawić do sieni. Hanka próbowała dźwignąć to naczynie, nie miała jednak na to dość siły; nie dała jednak za wygrane; póty chwyciła za ucho i ciągnęła za wystający ka-walek drewnianej obręczy, aż przewróciła szaflik i pomyje wylały się na ziemię. Jantek przyskoczył na pomoc i wiórem zeszkrobywał z klepiska mokre obierzyny, a że Zośka rwała się do tego zajęcia, więc ją Hanka zsadziła z tapczana. Zośka usiadła na su-



chem miejscu, pięty zaraz powalała w błocie, a drewnianą łyżką rozpryskiwała pomyje z prawdziwą rozkoszą. Hanka tymczasem spostrzegła, że węgle na kominie wygasły, co było oznaką, że należy zamknąć szyber, nad kapą komina umieszczony. Matka zasuwała zawsze szyber z pomocą łopaty, albo miotliśka. Hanka nie mogła sobie z temi narzędziami dać rady; wzięła się więc na sposób: wdrapała się na trzon pieca, następnie jedną nogę założyła na kapę komina i ręką dostała do szybra; pchnęła raz i drugi — zasunęła blachę; ale kiedy z triumfem chciała zeskoczyć, straciła równowagę i upadła na ziemię, uderzając głową o stół, który sama przysunęła do pieca.

Dzieci podniosły krzyk wielki, bo Hanka nie ruszała się z miejsca przez długą chwilę. Maciek znalazł się wnet przy dziewczynie; podniósł ją za ramiona, dźwignął, uniósł do góry i, z wielkiem wysileniem, prawie rzucił na własne łóżko. Hanka oprzytomniała, otworzyła oczy i rozplakała się. Maciek stał przed nią, skurczony, oparłszy dłonie na kolanach; wtem na twarzy jego odbił się przestрах: zobaczył krew na skroni dziecka. Obejrzał się wokół izby; błędny wzrok nie znalazł nikogo, ktoby mógł przyjść z pomocą.

Tak, jak stał, bez wierzchniej odzieży, bosi, powłókł się do drzwi i wyszedł. Dzieci jeszcze głośniej krzyczeć zaczęły. Z sąsiednich mieszkań, w ośmióraku, prawie wszystkie kobiety powychodziły: jedno do kościoła, inne do krów, przed południem; Maciek dopiero w czwartej izbie znalazł starą pastuszyne, Ładniaczkę.

Kiedy z nią wrócił do siebie, siły go tak opadły, że nie mógł drzwi zamknąć. Starą, spojrzawszy na niego, zrozumiała, że on sam chory.

— Kładźta się żywo — rzekła, a płaczącą Hanke przeniosła z łóżka na tapczan.

— Cicho, głupia — zawołała na dziewczynę — co ci jest?

— Potłukłam się... — lamentowała Hanka.

— Gdzie?

— A zleciałam... z pieca... bez stołek... na łeb...

— Wodzita ją, smarkata! — łajala stara — a po co łazisz gdzieś niepotrzebna? Skórę ci obić i tyle!

Hanka poddała się rękom Ładniaczki, która fartuchem obcierała krew, sączącą się z małej ranki nad skronią dziecka.

— Wyje i wyje, jak żeby jej tam... niewiedomo co! — gderała pastuszyzna — a jakim prętem przejechała ci po plecach, tobyś ty wiedziała: co to z pieca zlatywać... Cicho, bo będę bić!

Hanka przestała płakać.

— Obetrzuj se nos; nie masz fartucha, czy co?

Hanka spełniła rozkaz, a stara własnymi palcami uporządkowała nosy Jantka i Zośki.

— Tera, bechy, pójdziet do mojej izby; nacu-dowaliśta tutaj dosyć! — zawołała stara. — Prowadź się, Hanuś, sama i małe zabieraj!

Otworzyła im drzwi i wypchnęła wszystko troje do sieni. Zbliżyła się do Maćka, który siedział skulony na łóżku.

— Wam, kumie, co takiego?

Chory wskazywał głowę, piersi i, stękając, dokończył:

— Mocy nijakiej w sobie nie słyszę...

— Gorączka od was bije wielga — szeptała stara — gębę wam spaliła; musi to frybra bedzie, trzęsło was?

— Oj, trzęsło, a potem paliło, a potem znowu trzęsło...

— Ona to jest, frybra — stanowczo orzekła Ładniaczka — tylo ino co nie będzie zimowa, a wiosnowa frybra, która gorsza jest.



— A co na nią robić? — jęknął Maciek.  
— Wódki z pieprzem półkwaterek trza wypić i zamówić słabość.

— Zamówicie wy? — spytał błagalnie chory.  
— Jużci co zamówię, ino żeby nikogo w chałupie nie było, boby słabość w inszego chciała wejść. Tymczasem spoczywajcie, a ja dzieci u siebie przetrzymam.

Maciek wyciągnął się na łóżku; ona mu nogi zziębnięte i mokre od czasu przyjsia ze dworu określiła kożuchem; miała odchodzić, kiedy chory zakaszlał gwałtownie.

— Wyplujcie, kumie! — zawołała.

Maciek dał znak, że nie może.

— Pamiętajta że sobie, żebysta na drugi raz zażdy wypływali — uczyła stara — jak was kaszel weźmie tłuc, to głowę na dół z łóżka przewiesić, a płuć! Będziecie? co?

— Będę — odezwał się cicho Maciek.

Pastuszyna znalazła w swojej izbie Jantka i Zośkę, wyrrywających sobie z rąk miauczącego kociaka, ale Hanki nie było.

— Poleciała na globle, het! — objaśnił Jantek.

— Ja jej sprawię! — pogroziła stara.

Hanka rzeczywiście była już na grobli. Pobieгла tam dlatego, że inne dzieci biegly i że zapomniała o swoim potłuczeniu. Nic tam bardzo ciekawego na tej grobli nie było. Paklepa wracał do dworu, konno, na chorej dereszce, którą, stosownie do polecenia ekonoma, przejechał tak, że wyglądała jak z wody wyciągnięta! Paklepa dumny był z tego, że „za koryczkę jęczmienia i pół ćwiartki grochu zaważy”. Zaczął on przejażdżkę od okładania kijem biednej szkapki, bił ją sumiennie aż do miasteczka, dokąd po tytoń pojechał, bił z powrotem, tak, że kiedy wjechał w grzązkie błoto, dereszka uznała za stosowne sta-

nać. Musiała sobie zapewne pomyśleć, że nie warto ostatniego tchu dla Paklepy dobywać. Jakoż stanęła i stała, a nogi jej coraz głębiej pograżały się w grzęzawie. Paklepa zrozumiał, że konno nie wyjedzie. Czuł się obowiązany przyłożyć szkapie jeszcze kilka kijów, poczem zsunął się w kałużę, podniósł poły sukmany i, brodząc prawie po kolana, wyszedł na brzeg grobelki. Dereszka stała. Paklepa wyszukał grubego kawałka wierzbowej gałęzi i, rozmachnąwszy się, cisnął w klacz. Trafił w szyję. Dereszka chciała uniknąć uderzenia i wyskoczyć, ale, że za głęboko ugrzęzła, więc wysilek sprawił skutek wręcz przeciwny: upadła i nie mogła się poruszyć.

Paklepa zaklął na siarczyste pioruny, a dziatwa z ósmioraków zaczęła piszczeć hałaśliwie, boć to dla nich w każdym razie było widowisko niecodzienne. Skrobnął się Paklepa dwa razy nad lewym uchem tak silnie, że mu się czapka na prawe ucho zbakierowała; prędkim ruchem odpasał rzemieniak, świsnął nim po koszulach i spencerkach najbliższej stojącej dzieciarni i krzyknął:

— A do chałupy, ha!

Dzieci rozpiezchły się z wrzaskiem, a Paklepa, pośpiesznym krokiem, chyłkiem poza płotami, pobiegł do stajni. Nie pomogły środki ostrożności: spotkał się z ekonomem, który właśnie umieszczał gościnne konie.

Pan Trąbkiewicz znalazł się bardzo szlachetnie, ponieważ do dworu przyjechali goście i nie było obawy, żeby dziedzic zajął się dereszką, więc Paklepie nic się nie oberwało. Zawołał fernali, wzięto drażki i linki, poczem wszyscy poszli wyciągać dereszke.

Niestety, Hanka tego widzieć nie mogła. Pod strachem rzemieniaka, który stojącemu obok niej Józkowi Szurajowi bardzo bolącą dał pamiątkę, dziewczyna wbiegła do izby Ładniaczki.



— Paklepowa dereśka w błocie! — zawołała od progu — wiecie, ta dereśka co to młynarka... w błocie — het!

— Ja ci dam, faflu, latanie po bajurach! — groźnie odezwała się pastuszyna — ja ci pokażę dereśkę...

Schwyciła Hanke pod ręce, posadziła na ławie, a wzięwszy z półki kawałek sera, dała go dziecku...

— Na, jedz, ażebyś mi się nie ruszała z izby.

Maciejowa nie wróciła na południe do domu. Mogła była powrócić, bo do miasteczka liczono trzy wiorsty, ale w miasteczku spotykało się dużo znajomych, z którymi należało trochę pogadać. Żeby nie było przedmiotu do gawędy—to co innego; ale Maćkowa miała bardzo ciekawe rzeczy do opowiadania. I tak: mąż zaniemógł, jak na złość, nie w powszedni dzień, ale w niedzielę; Paklepa coś ukradł, bo go ekonom łajał przed stajnią; przy wypłacie zaszła omyłka. Kaśce należało się za jedenaście dni po 20 groszy, Marynie za osiem po 20, Wojtkowi zaś za dziesięć dni po złotemu; tymczasem zapisane było w książce: dziewczynom 21 dni a Wojtusiu 9 i za tyleż dziedzic zapłacił trzy ruble i złotych trzy.

— Ale wy sobie porachujcie — radziła jedna ze słuchaczek — może to nie tyła krzywda.

— Co mam rachować! Nietrza mnie obrachunku — wołała pokrzywdzona — złodziej okumon taki, jak i Paklepa! — Następnie przychodziła kolej na kwestję mięsa. Żyd, jak żyd: mięso ma śliczności; dać nie chce, powiada, że zamówione do dworów; ma, poganin, gorsze ochłapy w kacie — i te wyciąga, i chce, żeby mu jak za dobre płacić. Była u jednego, u Lejby — nie kupiła; była u drugiego, u Jabramka — też nie kupiła; dopiero u trzeciego, u krzywego Jojny, znalazła cielęcinę, targowała się, wytargowała i kupiła.

— Wtykał mnie, żydzisko, cały pośladek: weźcie, powiada i weźcie... Czyś się, mówię, wściekł! co mnie tera po pośladku? Albo to święta, czy co? A on: weźcie ćwiartkę, powiada, bo takiej cielęciny nigdy nie było i nie przedko będzie. Myślę: może i wziąć ćwiartkę... a potem se znowu pomyślałam: co mi tam po tem! Mówię, nie będę brać! Dopiero żyd zaczął pokazywać inne kawałki, no i wybrałam pięć funtów. Przecież ja dla rodzzonego męża nie żałuję. Dopiero go się, żyda, pytam: po czemu? A on chce po dziesięć. Naklełam, małom mu w oczy nie plunęła! Po siedem, powiadam. On nie chce, ja cisnęłam i idę... on za mną wylatuje: spuścił grosz. Ja — nie. No, i jakim go jeszcze zbesztala, tak dopiero na osiem groszy spuścił funt i wzięłam pięć.

Tu następowało rozwiązanie kobiałki, wyciąganie cielęciny w trzech obrzynkach, przewracanie, oglądanie i pakowanie napowrót. Na pożegnanie kobiety mówiły sobie:

— Ach, słodki Jezu! co się tera na świecie dzieje!

— Święta prawda! niech ręka Boska broni.

— Bywajta zdrowi!

— Niech Pan Bóg prowadzi.

Nie wypadało nie wstąpić do kościoła. Maćkowa, torując sobie drogę łokciami i wciskając się, jak klin, w zbitą masę ludu, dopchnęła się szczęśliwie pod ambonę. Szturchano ją, szturchała i ona, ale przecie nie stała byle gdzie! Miała tylko pacierz zmówić i wracać. Kiedy się jednak pod samą amboną znalazła, pomyślała, że nie wypada wychodzić przed końcem nabożeństwa. Doczekała do końca; za to od chwili, kiedy ksiądz odszedł od ołtarza, nie straciła ani minuty czasu. Z impetem, całą siłą pchłała się do drzwi: to przygniatana w tłumie, to znowu wyciskana w górę, trochę jej kobiałkę przyłamano, trochę chustkę ober-



wano, ale ona jedna z pierwszych wypadła ze drzwi kościelnych i, nie oglądając się już na dziadów żebrzących — zdażała ku domowi.

— No, co, leżaj tobie? — spytała Maćka.

— Nie — odpowiedział.

— Czeka-j-no, niechaj ja rosołu nastawię, to ci ra-  
źniej będzie. A gdzie się dzieci podziały?

— Ładniaczka wzięła.

— Ach, to lepiej.

Nie mówili do siebie więcej. Ona kręciła się po izbie, rozpałała ogień, gotowała obiad, sprowadziła dzieci, dzieci bawiły się hałaśliwie, a chory leżał tak, jakgdyby nic z tego, co się koło niego działo, nie słyszał.

O zmroku wrócili dziewczyny i Wojtek z miasteczka. Każde z nich spojrzało tylko na łóżko, na którym leżał ojciec, ale nie zbliżyło się do chorego. Wszyscy byli głodni. Wkrótce też zabrali się do łyżek: jedli w milczeniu, powoli, patrząc na miskę z tą uwagą i przejęciem, z jakim tylko prawdziwi biedacy i wielcy smakosze jeść umieją.

Maciek wypił kilka łyżek rosołu i więcej nie chciał.

— Cóż ty zjadł? tyle co nic — skarżyła się Maćkowa — widzisz jaki ty niedogodzony: ja po mięso latała, niczego nie żałuję, a ty nie chcesz...

Chory przecząco poruszył głową.

— Może krup w gębę wezmiesz, są na spodzie w garczku?

— Nie.

— A cóż ty będziesz jeść, co? gadaj, żebyś choć wiedziała.

— A nic.

— Nieszczęsna ja dopiero! Ani mu tego, ani mu tamtego... leży jak drewno, niewiedzący, że ja jemu, jak dziecku małemu, dogodzićby chciała!

Chory zakaszał i obrócił się do ściany.

Wieczorem przyszła pastuszyna: przyniosła wódkę z pieprzem. Maćkowa zaczęła narzekać na męża, jakgdyby go w izbie nie było.

— Kaszel go dusi? — pytała Ładniaczka.

— Bo ja tam wiem! — odparła Jarmołowa.

— Ano, nie słyszeliście.

— Nie słyszałam, mnie już całkiem głowę odjęło: nie je nic.

— Ale — odezwała się Maryśka — tatunio mocno kaszłą.

— O! głupia, ona niby co wiel — oburzyła się matka.

— A przy kaszlu ojciec głowę na dół spuszcza-li? — badała stara.

— Musi nie... — z pewnem wahaniem szepnęła Maryśka.

— To kiepsko, ja mówiła, że trza spuszczać.

— Kiedy to z nim nijak nie utrafil — biadała Maćkowa. — Co tam, że wy prosili, ale co ja się naprosiła, żeby jadł!

Stara zbliżyła się z wódką do łóżka.

— Kumie, wypijcie na frybrę.

Maciek podniósł trochę głowę, wziął drżącą ręką blaszany półkwaterek i wypił. W tejsze chwili zakrzuszył się strasznie, oczy krwią nadbiegły, na czoło pot wystąpił.

— Na dół głowę trzymajcie, kumie! — zawołała Ładniaczka.

Ale chory widocznie nie miał siły ruszyć się: leżał na boku, a całe ciało drgało, kiedy kaszłał.

— Pomóżta-no mnie! — rzuciła stara — trza głowę spuścić.

Maćkowa, Kaśka i pastuszyna podniosły prędko chorego, przysunęły do krawędzi łóżka i gwałtem głowę pochyliły.



— Trzymajcie dobrzel — wołała stara — wyplujcie, kumie!

— Wypluj, Maciek, kiedy trza! — krzyczała choremu w ucho Maćkowa. Maryśka, przestraszona, ukryła się za piecem.

Wojtek stał na środku izby.

— Czego ty się boisz, głupia? — rzekł do Maryśki.

— Tatulo pomrą od tego... — odparła cicho.

— Nie bój się! tatulo twardzi...

Wtem chory jęknął tak boleśnie, że kobiety odskoczyły; on opadł na posłanie i leżał z zamkniętymi oczami.

— O, to, to! — spokojnie odezwała się pastuszyna — taki kaszel pomocny jest we frybrze, bo się choroza wydycha.

— Może być — zdziwiła się Maćkowa.

— Kiej wam powiadam — potwierdziła stara — to tak; tera go w spokojności zostawcie, żeby spał, a jutro, ramienko zamówię.

— A niech wam tam Pan Jezus i Matka Boska!... Tak gadają, co na frybrę zamówienie okrutnie dobre.

Noc nie przeszła spokojnie. Chory miał silną gorączkę, a nie mógł mieć nawet wygodnego posłania. Maćkowa z Maryną spały na tapczanie, wzięwszy małą Zośkę pomiędzy siebie; Wojtek nocował w stajni — jak zwykle; Kaśkę wyprawiono do obory; chory zaś musiał podzielić się łóżkiem z małym Jantkiem, bo na przypiecku dla Hanki tylko było miejsce. Maciek kilkakrotnie wołał oderwanymi wyrazami: to niby konie poganiał, to się z kimś kłócił; Jantek się wtedy rzucał na posłaniu, co chorego wprawiało w silne rozdrażnienie.

Kiedy nad ranem ruch się zrobił w izbie, Maćkowa nie mogła wydobyć z męża ani słowa. Zawołano Ładniaczkę, a ta, po wyjściu kobiet i dzieci z izby, za-

mawiała chorobę. Przyniosła z sobą trzy gałki chleba; zapaliła na kominie dwie drzazgi, wprzód je na krzyż złożywszy; gałki przez płomień przerzucała, coś szepcąc przytem; nareszcie jedną z tych gałek kazała zjeść choremu, drugą w komin, głęboko, cisnęła, a trzecią kazała zakopać w ziemię, na trzy pędzi, za węglem domu.

— Bardzoście słabi? — zapytała po skończeniu obrzędu.

— Bardzenko... — odpowiedział chrapliwym głosem.

— Będziecie co jeść?

— Pić, tobym pił... kwaśne...

Stara kazała mu dać barszczu. Maćkowa podała cielecinę z wczorajszego rosółu i dopilnowała, że chory zjadł mięso, popijając barszczem.

— Żebyś ty zaraz wczoraj tak jadł — mówiła zadowolona już żona — tobyś był tera mocniejszy.

Koło południa jednak Maćkowi pogorszyło się znacznie: wzmożła się gorączka, oddech stawał się trudniejszy.

— Oj, nie wytrzymam! — zawołał parę razy.

Jarmołowa zaczęła się niepokoić; pobiegła do Ładniaczki.

— To nic — rzekła stara — można tera dać wódki z miodem.

Chory się nie zakrztusił tym razem, bo miodu było sporo; przecie w pół godziny potem narzekał więcej, niż wprzód.

Maćkowa udała się do stelmaszki: radźcie, dla Boga, bo sama nie wiem co! Wódkę pił bez dwa razy: z pieprzem i z miodem, Jakóbową zamówili — i nic!

Stelmaszka ruszyła ramionami.

— Kto wam gadał, że zamawianie pomocne? — spytała.



— A dyć Jakóbową pedali, co na frybrę dobre.  
— A bo to frybra?  
— Ino co? przecie go trzęsło...  
— Aha, juści, taka to i frybra! Nic inszego ino uroki...

— Matko Najświętsza! może być! — i Maćkowa głową na prawo i na lewo kilka razy poruszyła.

— Bez to go trzęsło — tłumaczyła stelmaszka — co się nie dawał urokom, a teraz go przejęły, to się poci.

Starala się Maćkowa domyśleć: ktoby mógł rzucić uroki, ale nie mogła. Stała pod oknem, z łokciem opartym na dłoni, drugą dłonią podpierając brodę, mocno zgnębiona.

— No, i co tera robić?

— Trza odczyniać, i już — odparła stelmaszka.

— A kto będzie?

— Byle pirszy może; ale jak chcecie pewności, to już najlepiej starego Bratosza prosić, bo on jest na całą wieś z pirszych — pirszy.

Maćkowa uznała słuszość tej rady. Odczyniać uroki może każdy pierwszy — starszy w rodzinie; a że Błażej Bratosz był najstarszym we wsi, i swego czasu pierworodnym w rodzinie, w dodatku znał się na każdej rzeczy, więc też w kwestji uroków był pierwszym z pierwszych.

Wybrała się do wsi, nie zwlekając. Przed dworską kuźnią zatrzymał ją kowal, który nikogo nie przepuszczał bez uprzedniego wybadania: dokąd, dla czego i poci?

Maćkowa chętnie opowiedziała o swoim kłopotcie i o nadziei, pokładanej w odczynianiu uroków.

— Czysła się wy, baby powściekały? czy co, — zawołał kowal, wymachując rękami — chłop ma zapalenie, bo go zimno przejęło, a wy jakieś sposoby, czort wie...

— Niech się pan Laksender nie gniewają — przerwała Maćkowa.

— Co wy mnie tam gadacie! — oburzał się dalej p. Aleksander — was by wszystkich w wojennej służbie porządku uczyć! W pułku, bywało, chory kto, to dokład idzie do starszego. Tu kto starszy? Pan. Tak wam do samego pana iść: tak i tak — niechaj radzi. Jak ja tu chorował, żona dołożyła panu; pan do doktora, doktor do apteki, lekarstwa dawali i pomogło, ot!

— Wola Boska! — westchnęła kobieta — jednemu pomoże, drugiemu nie pomoże... — i poszła na wieś.

Bratosz nie dał się prosić. Był to chłop blisko siedemdziesięcioletni, trochę zgarbiony, małomówny, ponurego wejrzenia, w gruncie dobry człowiek i spokojny. We wsi lękano się go potrosze: Błażej wódki nigdy nie pił i nigdy z niczego nie był zadowolony. Uważano go za bardzo doświadczonego, bo podejmował się *ładować* wszelkie wywichnięcia i złamania ludzkie i bydłowe.

Maćkowa opowiadała przez drogę: o mężu i cięćcinie; Błażej nie odzywał się wcale. Kiedy weszli do izby, zażądał święconej wody i kręzła od przesiłicy<sup>\*)</sup>. Dano mu wodę w butelce, kawałkiem szmatkanej, z odłamkiem tarniny święconej, poci i kręzel.

Błażej dmuchnął w otwór kręzła święconej wody i na wodę puścił trzy razy.

— Mówcie trzy razy „Zdrowa” do chorego. Maciek poruszył uszy, pocierz półgłosem. Po pierwszym „Zdrowa” stary wyjął węgielki

<sup>\*)</sup> Kręzel — ostrosłup. ustawia się na przesiłicy, którą stawia kręzła. Kręzel ina.



giej — wlał część wody z kęzła w usta chorego, po trzeciej — resztę wody wylał na próg izby, koło biegunów drzwi; następnie głowę na izbę obrócił i splunął trzy razy.

— Bóg zapłać! — jęknął chory.

— Ja tu sam przyjdę po południu — mruknął stary, odchodząc.

Na obiad musiał Maciek zjeść znowu kawałek cielęciny, bo żona tak głośno lamentowała, że nie miał siły się bronić. Ból głowy zwiększył się, kaszel dusił niemiłosiernie, klócie w boku stawało się nieznosne: chory czuł wyraźnie, że po jedzeniu zwiększyło się cierpienie.

— Musi umrzeć! — wołał biedak, ledwo poruszając rękami, które opadały bezwładnie na posłanie — pić dajcie!

Maćkowa postawiła wodę w garnuszku, na ławie, koło łóżka, ale chory nie mógł sam się napić; trzeba było dawać mu wodę łyżką; posługę tę spełniała Hanusia.

Przed wieczorem przyszedł Bratosz.

— Odeszło mu całkiem? — spytał.

— E, gdzie zaś! — płaczliwie odpowiedziała Maćkowa.

— Japaral! — zaklął stary — dajta stołek.

— Będziecie odczyniać?

— Dawajta stołek wysoki.

— Wstawanie!... nie dam rady!... — zaklął stary, trachem w głosie.

— Idzie: miał się poddać takiemu... — wołał stary, który mu się nad jego siły.

— Nie starsze dziewczyny by... — wołał stary, która potrzebna była pomoc do... — wołał stary, który no więc stelmaszkę. — wołał stary, który parł się na kiju i pra-

wą nogę postawił na wysokim stołku. Kobiety podniosły Maćka i posadziły na ziemi. Maciek nie próbował oporu: wiedział od dzieciństwa o tem, że powinien poddać się każdy, komu baby postanowią odczynianie. Chciał przykleknąć, ale siły go opuściły i upadł na twarz.

— Niech spocznie — powiedziała stelmaszka.

Hanka, Jantek i Zośka wybuchnęły płaczem. Maćkowa uciszyła dzieci, grożąc im pięścią. Maciek stękał głośno.

— Słuchajcie, Jarmoł, albo tak, albo nie! — odezwał się Bratosz.

— Maciek, dyć ty ratunku nie chcesz! — wołała żona.

— Trza się kwapić, bo i tak już uroki się zmocowały — dodała stelmaszka.

Chory z ogromnym wysiłkiem począł czołgać się po ziemi; przesunął się pod nogą Bratosza, opartą na stołku — i zemdłał.

— Wychodzi z niego, — krzyknęła stelmaszka.

— Nie ruchać, niech wyjdzie! — rzekł stary.

Czekali tak przez chwilę: Maciek nie poruszył się.

— O Jezu! trza go budzić! — prosiła Maćkowa.

— Tera można, pozwolił stary — dać octu i pióro.

Znalazło się kilka kropli octu na dnie brudnej fiaszki, a Hanka podała jakieś wystrzępione piórko. Jedna z kobiet wylała ocet na usta chorego, druga zatliła pióro i gryzącym dymem wionęła mu koło nosa; na ostatek któraś z nich umoczyła rękę w konewce wody i polała twarz Maćka.

— Nie trza wody, bo się zachłodzi — upomniał Bratosz.

Ocuć się Maciek. Wtedy stelmaszka wzięła go pod ramiona, a Maćkowa popychała — jak się tra-



fiło, i przeczołgał się biedak w ten sposób jeszcze dwa razy dokoła stołka, a zawsze tak, żeby się znaleźć pod nogą Bratosza. Trwało to długo, bo Maciek czołgał się o tyle, o ile go kobiety popychały i ciągnęły. Następnie położono go napowrót na łóżko.

Jak go położono, tak leżał, zdrewniały, prawie nieżywy.

— Prędko mu odejdzie? — zagadnęła Maćkowa.  
— Łaski Boskiej się pytać — odburknął Bratosz.  
— Ach! Boże miłosierny! — westchnęły obie baby.

Powracającego do wsi Bratosza zaczepił kowal.  
— Bardzo tam Jarmoł słaby, co?  
— Jego się pytać — odparł stary.  
— Przecieżeście go widzieli.  
— No, to co?  
— No, to gadajcie!  
— A cóż to ja wasze kowadło, a wy młot?  
— Odczynialiście mu? — badał kowal.  
— Musi wam z tego nic... — rzucił stary i przyspieszył kroku.

— Słuchajcie — wołał za nim kowal — poradźcie co Paklepowej kobyle, bo chce zdychać!

— Psia para! — mruknął Bratosz, nie oglądając się na kuźnię — nie wierzy w moc Boską, surdutowy!

Wieczorem, przy dawaniu dyspozycji gospodarских, dziedzic zagadnął ekonoma: co tam z Jarmolem słyszeć?

— Chory, proszę pana.  
— Lepiej mu, czy gorzej?  
— Tego nie wiem, bom nie był u niego.  
— Trzeba było pójść: powinienś pan wiedzieć, co się z fernalami dzieje.

— Zeszło mi, proszę pana łaski, bo to z tą dereszka... łeb mam rozkotłowany...

— A tak, wywichnęliście dereszce nogę przy wyciąganiu z błota i cała rzecz!

— Już ja ją wyleczę; żeby tam nie wiem co! — zapewnił ekonom.

Dziedzic machnął ręką, co p. Trąbkiewicza bardzo ubodło, ponieważ gumieny stał obok.

— Dereszki proszę nie ruszać, sam jutro się nią zajmę — kończył dziedzic — do Jarmołą zajść i powiedzieć, żeby baba po lekarstwo przysłała, albo do doktora go wiozła, a jeżeli zdrow — niech idzie do jakiej roboty.

Ekonomowi pilno było na kolację, zdał więc resztę na gumienego.

Mateusz stanął na progu izby Jarmołów w chwili, kiedy cała rodzina siedziała przy wieczerzy.

— A gdzie Maciek? — spytał.

Maćkowa wskazała ręką łóżko.

— No, niech ta będzie koniec tego słabowania, bo pan kadał, żebyście do roboty szli jutro.

— Czy wam rozum odebrało, czy co? — zawołała kobieta — dyć on z pościeli zwlec się nie może!

— Mnie do tego nic, ja to oddaję, co mnie podane.

— Łże on! — krzyknął Wojtek — pan tak nie gadał.

— A ino co, ty kundlu? — oburzył się Mateusz.

— Samiście się z tym cholera okumonem zmówili — odparł chłopak.

— Ja ci przypomnę te wywoływania! — pogroził gumieny.

— Mateuszu... — jęknął chory.

Gumieny zbliżył się do łóżka.

— Słuchajcie — ciągnął cicho Maciek — ja strasznie kiepski jestem... mniejsze sumienie... — zakaszlał i nie mógł mówić dalej.



Mateusz stropił się. Maciek wydał mu się bardzo słabym.

— Czemu wy, Maciejowa, do pani po lekarstwo nie idziecie?

— Co lekarstwo pomoże, kiedy to uroki! — odparła kobieta.

— Uroki powiadacie... — i gumieny zamyślił się — uroki — mówił po chwili — ha, to insza rzecz... to ci dopiero!... no... no... a jużci... — I wyszedł ci cho z izby.

Na noc Maćkowa oddała dzieci do stelmaszki; pomimo to, chory spać nie mógł, gorączka wzmogła się, ale osłabienie go uciszyło: nie wołał i nie narzekał.

Kiedy się rozwidniło i Jagna przysłała do męża, aby go namówić na krupnik, — miała bowiem jeszcze ostatni kawałek cielęciny — przelekła się:

— Ola Boga! czegoż ty masz oczy zamknięte?

Chory rękami tylko ciężko poruszył.

— Ja nieszczęśliwa! toć on, musi, umierać będzie!

A kiedy Maciek nie odzywał się jeszcze, porwała go za ramię i wstrząsnęła nim:

— Odezwiij się! czy ty nie widzisz, że mnie ze strachu dech zaparło!... Będziesz jeść? gadaj... chcesz to ci kurę zabić, byleś jadł...

Chory otworzył oczy.

— Daj spokój, Jagna — wyszeptał — nie mogę jeść... mnie po tamtem jadło gorzej... ciężko...

Maćkowa załamała ręce i, nieprzytomna prawie, pobiegła do owczarza.

— Miejtą zmiłowanie! — wołała we drzwiach, — odczynianie na nic, wszystko na nic! Może zielem trza obkadzić, może co!

Kował widział owczarza idącego z Maćkową, dostrzegł, że niosą zioła i domyślił się, że chory ma

się gorzej. Poszedł ku dworowi i spotkał szafarkę koło chlewów.

— Pani Purchalska, kiepski interes! — rzekł.

— Co tam znowu, panie Aleksander?

— Jarmoł słaby, we dworze nie wiedzą, a baby, z przeproszeniem, psim swędem go na tamten świat zaprowadzą.

— Nie wiedziałam, Święci Anieli, nie wiedziałam o niczem! — dziwiła się szafarka — a jemu co jest?

— Zapalenie!...

— A czego zapalenie?

— Jakto czego? co pani znowu! To pani nie wie, że zapalenie jedno jest a nie dwoiste! Ono jest we krwi — i już...

Szafarka uczuła się dotknięta; odezwała się więc ironicznie:

— Tam się pan Aleksander akurat zna...

— No, no! pani Purchalska tyle w życiu nie widziała zdrowych chłopów, ile ja chorych widział w łazarecie.

— Ha, ja przy chorych, Bogu dzięki, nie bywała — rzekła.

— Ja dla pani życzę zawsze zdrowych, a młodych...

— Panie Aleksander, bardzo proszę!...

— Dziękuję, pani Purchalska, ja nie od tego...

— Będziesz pan Aleksander widzieć!...

— Jak co dobrego, to rad zobaczę.

— Doprawdy, że się pogniewamy, bo to także...

— To ja przed Wielkanocą przeproszę.

— E, bodaj pana! Gdzie tam kto z takim ładu dojdzie! — i pani Purchalska widocznie była w dobrym humorze — ale cóż tu z tym Jarmolem?

— Dołożyć panu, może do łazaretu odwieźć.

— Święci Anieli! co parobkowi po jakimś łazarecie? przecie moja pani różne lekarstwa ma.



— Tak dawaj choć i te lekarstwa... a porządek powinien być swoim porządkiem.

Szafarka natychmiast opowiedziała pani o chorobie Maćka; pani powiedziała mężowi; uradzili oboje, że trzeba pójść do chorego. Przymrozek był ostry, błoto zamarzło, poszli. Znaleźli w izbie powietrze okropne: zaduch od rozpalonego na kominie ognia łączył się z silnym zapachem kapusty i gryzącym swędem spalonego ziela, z którego resztki dymu rozścielały się jeszcze pod pułapem.

Chory krztusił się i chwycił powietrze tak gwałtownie, że słyhać było wyraźnie rżenie w pierśsiach.

— Znadtoście nakadzili — odezwała się pani — ten dym aż dusi.

— E, to nieszkodzący, wielmożna pani — objaśniała Maćkowa — to ze święconego ziela.

Pan zaczął robić wymówki, że nikt nie przyszedł do dworu prosić o pomoc lub o sprowadzenie doktora.

— Wielmożny panie, do Rasiaka, albo do Kalniakowej dziewuchy i doktor jeździł i pan sam płacił japykę, i nie pomógł! kto miał umrzeć — to i pomarł.

— Ale nie rachujesz tych, których doktor wyleczył: żona Aleksandra, chłopak Mateusza, pamiętasz?

— Wola Boska! — westchnęła Maćkowa.

Miało to oznaczać: gadaj ty swoje, a ja wiem swoje.

Pani tymczasem zobaczyła kawałek mięsa na misce i wzięła miskę do rąk.

— To dla niego — płaczącym głosem mówiła Jarmołowa — samam chodziła, samam kupowała... trochę zjadł, a teraz więcej nie chce... miałam na krupnik nastawić...

— Bójcie się Boga! — zawołała pani — to mięso nieświeże, już śmierdzi...

— Odrobinę je słyhać — spokojnie odpowiedziała Maćkowa — cóż poradzę? Żeby był chciał od razu zjeść, toby się było nie zatęchło... Tera musi już i tak być... Nie chce on, to dzieci zjedzą.

Wyszli państwo, a po drodze zawołali furmana i kazali po doktora do miasteczka jechać. Furman, otwierając wozownię, odezwał się:

— Oni tę „młynarkę“ na śmierć zamęczą...

— Kto taki?

— A nie kto inny, jak tylko ekonom z tym chłopem, tam, za stodołą.

Pani poszła do domu, pan na gumno.

Za stodołą odbywała się operacja nastawiania nogi dereszce. Operatorem był stary Bratosz, pomocnikiem — Paklepa, dozorował pan Trąbkiewicz.

Dereszka miała zdrową przednią nogę zgiętą i przywiązaną postronkiem, koło pęciny okręconym, do szyi; stała więc na trzech nogach. Przed kłaczą położono klocek sosnowy. Chodziło teraz o to, żeby dereszka przeskoczyła przez klocek, a tem samem silnie stąpnęła chorą nogą, która wskutek tego miała „wejść na swoje miejsce“.

Bratosz ciągnął biedne zwierzę za uzdę, a ekonom z Paklepą podcinał je z tyłu: pierwszy harapem, drugi biczyskiem.

Podcinanie było poprostu biciem. W chwili, kiedy pan miał zdaleka wołać, żeby nie mordowano konia, dereszka zebrała resztę sił, uniosła się na zadzie i chciała skoczyć; ale spracowane mięsy odmówiły posłuszeństwa: zachwiała się i padła na klocek. Podniósł ekonom harap, podbiegł pan, krzycząc:

— Nie bij!

Dereszka podkurczyła nogi, potem je wyprężyła silnie, szyję wygięła, głową uderzyła o ziemię i odechnęła głęboko.

Chrapy miała rozdęte, zęby wyszły z pod warg,



a szkliste oko, otwarte, patrzyło nieruchomie... Zdechła.

Furman nie znalazł doktora w domu; doktorowa kazała mu czekać, zapewniwszy, że maż zaraz nadjedzie; skoro jednak nie nadjechał do południa, furman powrócił do dworu. Wysłano go znowu po obiedzie; doktora jeszcze nie było; kucharka powiedziała, że pojechał do Klinków.

Paweł podążył do Klinków, ponieważ kazano mu nie wracać bez doktora. Dowłókł się na piątą, bo droga była fatalna.

Korzystając właśnie z tej złej drogi, najbliżsi sąsiedzi zjechali się na winta, a doktora sprowadzono „na czwartego” pod pozorem, że dzieci mają chrypkę. Doktor przyzwyczajony był do takich kombinacji; rozumiał dobrze, że gdyby nie wint, dzieci nie miałyby częstych chrypek i nie opłaciłoby się mieszkać w miasteczku.

— Cztery trefle — zadeklarował pan Pysiewicz.

Walek, podejrzaney powierzchowności kreden-cerz, stanął w progu.

— Proszę pana...

— Czekaj, ośle... nie przeszkadzaj! — zreflektował go gospodarz.

Tymczasem pan Klapczyński, swoim zwyczajem, nie odebrał przeciwnikom atutów, skutkiem czego ósemka treflowa, zostawiona u doktora, zabiła króla karowego.

— Bez jednej — triumfował gospodarz.

Pan Pysiewicz wyciągnął ręce i, trzęsąc niemi nad stołem, czynił gorzkie wyrzuty panu Klapsińskiemu.

— Kiedy bo panu, jak Boga kocham, tych atutów zawsze tak żał, jak nie wiem czego!

— Ta-a-ak! — więc miałem bez końca atutować?

— A bez końca...

— Zapewne! a ich piki później pięścią bym bił?

— A pięścią.

— E, proszę pana, to żadne gadanie!

— Może być, ale też i taka gra, to gorsza, jak na bębnie!

Walek nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

— Czego stoisz? — spytał gospodarz.

— Konie z Rudki po pana doktora przyjechali.

Doktór się zerwał, ale gospodarz uprzedził go, a wróciwszy, objaśnił, że nic wielkiego, bo tylko parobek chory.

— Władysław ma manję leczenia fernali — dodał — byle którego palec zabolał, już po doktora.

— Dla mnie to lepiej — uśmiechnął się doktor.

— Parobek nie ocenia takiej opieki — dorzucił pan Klapsiński.

— Co taki drab rozumie! — pochwycił pan Pysiewicz, rozgoryczony wypadkiem z treflami. — Władysław psuje ludzi, a oni sobie z niego kpią i kwita.

Doktór zachował się politycznie, bo powiedział:

— No, to mnie... tego... wypada jechać...

— Przecie się nie pali! — zaoponowali wszyscy — godzinka zwłoki nic nie stanowi, a partję trzeba skończyć.

Skończyli partję, ale o siódmej; potem wypili herbatę, a doktor siadł na bryczkę po ósmej. Wieczór był ciemny, konie szły z trudnością po grudzie; noc była, kiedy stanęła bryczka przed ósmakiem w Rudce.

Maćkowa nie spodziewała się już doktora; potraciła go też z wielkiego pośpiechu przy szukaniu zapalek, narzucaniu parcianki i podsuwaniu stołka. Doktór zrzucił futro, dał je do trzymania kobiecie i przystąpił do łóżka chorego. Wtem spory wieprzak zerwał mu się prawie z pod nóg i omało go nie obalił. (Doktór wpadł w pasję.



— Jak możesz, głupia babo, trzymać świnie w izbie? Jest z was tu dosyć smrodu, jeszcze świnie wpuszczasz!

— Tu niema świń, proszę wielmożnego doktora — odparła z wielkim spokojem Maćkowa — żadnych świń niema, ino ten jeden wieprzak, bo on cościć słaby, a w chlewku zimno na niego.

— Jej nie mąż w głowie, ale wieprzak! — piorunującym głosem zawołał doktor — pojęcie przechodzi, co to za bydlę!

Gniew doktora przechodził także pojęcie Maćkowej: mąż — mężem, wieprzak — wieprzkiem; nie godzi się zapominać ani o tym, ani o tamtym... Musiała niechcący coś źle objaśnić. Pocałowała rękaw doctorskiego paltota dwa razy.

Doktor opukał Maćka.

— Nie trzeba było tak wiele jeść... żołądek wzduęty...

— Ola Boga! na tylego chłopca, żeby za wiele jadła było! — zawołała kobieta — a toć on tak zasłabł bez to, co jeść nie może.

— Cielęciny mi dała — wystękał chory.

— No, to co? — przerwała Maćkowa — sama pani widziała dziś na misce i gadała, co byś jadł, bo całkiem zatechnie.

Doktor uznał za stosowne nie wdawać się w dalsze rozprawy, narzucił futro i rzekł:

— Będziecie mieli z apteki dwa lekarstwa: jedno — proszki — brać co godzinę, wziąć tych proszków dwa, a potem...

— Oj, nie spamiętam... — przerwała kobieta.

Nie było rady: należało jechać do dworu i tam sposób leczenia przepisać. Tak też doktor uczynił.

— Ostre zapalenie płuc — objaśnił państwa domu — przytem z żołądkiem niedobrze... stan dosyć groźny...

Pani przyrzekła, że sama dopilnuje dawania lekarstw. Nie zatrzymywano doktora długo; wypił szklankę herbaty, przeprężono konie, odjechał.

Było już koło północy, kiedy furman dzwonił do apteki. Zaspana kucharka rozpytała się go przeze drzwi: skąd, dlaczego tak późno i kto chory.

— Aptekarz pojechał do Lublina, a pomocnik jest u pisarza gminnego na imieninach.

— To idźcie po pomocnika — rzekł furman.

— Jedźcie sami, kiedy konie macie — ofuknęła baba.

— Jakże ja od koni w nocy odejdę?

— Dajcie mnie spokój? Myślałby kto, że sam hrabia chory! — i odeszła.

Paweł kłął na czem świat stoi, ale podjechał pod gminę. Ganek był zamknięty, dzwonka napróżnoby kto szukał; przez okiennice dobywało się szparami światło. Paweł założył lejce na słup parkanu, podszedł pod okno i zaczął bębnić w okiennicę. W sieni pies zaszczekał, a po chwili ktoś drzwi ganku otworzył z hałasem i krzyknął:

— Kto tam?

Furman pośpieszył zameldować, ale nie dokończył.

— Paszoł won! — odezwał się ten sam głos, a osoba delikatnie przemawiająca zniknęła, ryglując drzwi za sobą.

Paweł, wróciwszy do domu, zobaczył światło w okienku Jarmołów, zastukał w szybę biczyskiem i Maćkowej, która do niego wybiegła, oddał recepty, wytlómaczywszy swoją niefortuną do apteki wyprawę..

— Poślijcie rano Wojtka; ja mu kuca dam.

— Grosza nie mam... — zaczęła kobieta.

— Na kartce napisano, żeby apteka na dziedzica rachunek dała; niech tylko Wojtek leci.



Maćkowa do białego ranka spać już nie mogła, bo chory jęczał okropnie. Przestraszona kobieta sprowadziła do izby Ładniaczkę, stelmaszkę i owczarkę; siedziały we cztery przed kominem, paliły ogień, żeby im raźniej było i radziły, a każda z nich co innego gadała. Zdawało się, że każda sama z sobą rozmawia.

— Odczynianie odczynianiu nierówne — mówiła stelmaszka — inszemu pomoże takie, a inszemu inak-sze; ażeby nijak nie pomogło, to nieprawda, ino wiedzieć trza, jak robić, żeby się nie sprzeciwiło...

— Kiedym gadała, żeby wypłuł, to nie wypławał — mruzczała stara pastuszyna — onoby odeszło od zamówienia, a nie odeszło... jakże miało odejść, kiedy nie wypłuł?

— Kadzić, nie kadzić — ciągnęła owczarka — a trza spamietać, żeby się w chałupie drzwi nie przewierały, bo święcony dym wypuszczać na dwór — grzech wielki...

— Oj, żeby on choć okruszek czego jeść zechciał! — skarżyła się przeciągłym głosem Maćkowa — com się naprosiła... com ja się jego naprosiła...

Szarzało już dobrze na dworze. Kobiety mówiły coraz mniej, coraz wolniej i ciszej; ogarniała je senność nieprzeparta. Wtem nagle chory zawołał wyraźnie:

— O, Jezul!

Zerwały się z ławy i stanęły na środku izby.

— Wypadnie musi po księdza jechać, bo ono to z tego będzie śmierć — spokojnie odezwała się Ładniaczka.

— Jużćić przez księdza nie można — potwierdziła owczarka.

— Lećta po konie do okumona — rzekła stelmaszka.

Maćkowa zarzuciła chustkę na głowę i poszła.

Kobiety czekały jej powrotu, sprzecząc się potroszę w kwestji: kiedy śmierć może nastąpić.

— On zara skończyć nie skończy — dowodziła stelmaszka — wymordują one, choć i uroki, człowieka wprzód, nim z niego ducha wytrzęsą, oho!

— A jak mu od zamawiania na trzeci dzień pomoże, to co? — przerwała pastuszyna. — Trzęsie go i morduje, jak frybra, a jak go puści, to co?

— Od zamawiania niby go puści? — wtrąciła owczarka.

— A bo nie?

— Musi nie.

— To od okadzania miało mu odejść? To wasz, choć i mąż, ma być znający, on ino jeden jednością?

— A jakbyście wiedzieli, że tak; on i proszki sam se potrafi zładować od gorączki.

— Dajta spokój — rzekła stelmaszka — czy mu przez proszków umierać, czy z proszkami, to jedna śmierć.

— Aby choć do świętej spowiedzi doczekał.

— O jej! doczeka...

— Może mu po księdzu ustapi?

— Po księdzu powiadacie? Może być.

— Żeby choć stary ksiądz chciał przyjechać, a nie wikary.

— Abo wikary co?

— Zawdy stary lepiej na śmierć spowiada jak młody.

Wtem weszła Maćkowa.

— A prosiliście, kumo, desków na trumnę? — spytała stelmaszka.

— Oj, musi suchych nie ma! — odezwał się stłumiony głos Maćka..

Maćkowa zbliżyła się do łóżka i mówiła łamentująco:

— Co ty się, nieboże, frasujesz o desk! Ty się



frasuj bez to, co my się tu, sieroty, na świecie szerokim przez ciebie ostaniemy... Ty se spomnij na kobiety i na dzieci... My się ostaniem przez kapki mleka, bo i krowinę trza będzie spuścić, a tobie pogrzeb sprawić, i światła nie skąpić, i poczęstunek zastawić, żeby se ludzie gęby nami, sierotami, nie wycierali po próznicy...

— Wy się o trumnę nie bójcie — przerwała stelmaszka — mój Paweł i desków zdrowych zdybie i robi, jak się patrzy: jemu to nie pierwszyna.

Wszedł do izby Szuraj.

— Po księdza jadę; furman przypomniał, żebyście dali kartkę doktora do apteki.

— Na nic już ta japyka, na nic! — kiwając głową, odpowiedziała stelmaszka.

Szuraj podszedł do chorego.

— Co wy zabierać się od nas chcecie? — zapytał dobrodusznie. — Macieju, przecież was jeszcze choroba nie zmoże?

— Nie popuści już ona mnie... ot i baby na śmierć mnie rychtują — spokojnie powiedział Maciek.

— Co ich babski rozum znaczy! — i Szuraj machnął ręką — u baby, jak u kury: jajko znieść i gdakać.

— O! z końskim rozumem zajechał! — oburzyła się owczarka.

— Zabierajma się, kumo, — rzekła Ładniaczka — my nie przyszły słuchać publikowania...

Stały w sieni i tam głośno rozprawiały.

— Będziecie zdrowi, Macieju, — ciągnął Szuraj — nie zawracajcie se głowy śmiercią.

— Gorączka mnie już nie pali — mówił chory — ale dychać nie mogę... łapię dech... a on do wnętrza dolecieć nie chce... niby mnie ziemia w jamie przywaliła...

— Jedźcie po księdza, kumie, jedźcie! — nagliła Maćkowa.

— Mróz wziął, śnieg polatuje — rzekł, wychodząc, Szuraj — ja tu duchem z księdzem przylecę.

W sieni opadły go baby i zasypały wykrzyknikami:

— O! widzita go! Co wyl

Fornał rozepchnął baby, wsiadł na stojącą przed domem bryczkę, a zgarnawszy lejce, odezwał się:

— Czekaście-no, kobiety, coś wam powiem!

— A co?... Cicho!... Niech gada!... — odpowiadały chórem.

— Czekaście-że na tem miejscu; jak wrócę, to wam dopiero powiem.

Świsnął batem i odjechał.

— Choroba! — mruknęła, spluwając, pastuszyna.

Dzwonek na gumnie ogłosił czas śniadania. Zeszli się w izbie: Wojtek ze stajni i starsze dziewczyny z obory.

— Ociec musi jutra nie doczekać — powiedziała Maćkowa, stawiając misę.

— Ale ot! — rzucił Wojtek pogardliwie — Ładniaczka szczeka, a wy jej wiarę dajecie. Na tatula jeszcze robota patrzy.

Maryśka przysunęła się do ojca, popatrzała, schyliła się i pocałowała wyciągniętą na sukmanie rękę.

Chory szepnął:

— Niech ciebie, dziecko, pan Jezus...

Dziewczyna nie słyszała nic więcej, bo zakryła oczy rękawem i wybiegła z izby. Poszła do maszyny bez jadła.

— Co jej się zrobiło? — spytała matka.

— Co się miało zrobić? gzi się koza!.. — odparł Wojtek.

Po śniadaniu chłopak udał się do roboty, na gumno, a Kaśkę zatrzymała Maćkowa dla porządkowania w chałupie. Ksiądz miał być: należało wszystko urządzić, jak na święto. Jedna zamiatała, druga — za-



tknąwszy starą miotłę na grabisko — zgarniała pajęczyny ze ścian i z pułapu. Otworzyła naosćcież drzwi do sieni, bo kurz zasłonił całą izbę. Wyszedł kurz, ale z nim razem ulotniło się i ciepło; wychłodziła się izba tak, że para leciała z ust przy oddychaniu. Chory usiłował okryć się kożuchem, który prawie cały z łóżka na ziemię zwisnął, ale mu się to nie udało. Kobiety w gorączce sprzątania najzupełniej o nim zapomniały; nie byłyby słyszały jego głosu, gdyby był nawet o co cicho prosił. Po wyrzuceniu śmieci na dwór, przyszła kolej na zmywanie stołu, stołków i ławy; nareszcie nastąpiło zbieranie po kątach starych przyodziewków i szmat. Wszystko, co było zbyt ciężkie w danej chwili, wsunięto pod łóżko lub za piec. Z tym piecem także kłopot: do połowy zakopcony. Kaśka pobiegła do Pakleliny po białą glinę. Maćkowa poszła wezwać bab do pomocy, ażeby ubrać chorego.

Kiedy Kaśka bielila piec, komin i kapę, kobiety zajęły się Maćkiem i pościelą.

Jarmołowa zaczęła wołać płaczliwym głosem:

— Już ja tobie, nieboże, ostatni raz koszulinę dostała, już ty się dziś ostatni raz przede śmiercią obleczesz!...

— Cichoście! — upomniwała Ładniaczka — nie można teraz gwałtować, aż dopiero po księdzu.

Podniosły chorego i posadzili na łóżku: jedna go podtrzymywała, aby się nie osunął, inne go ubierały.

— Jaki to z niego zdrów chłop był, a jak teraz wymizerniał — mówiła stelmaszka, kiedy wciągały koszulę na wyzółkę, trzęsące się ciało Maćka.

— Nic w nogach siły nie ma — dorzuciła owczarka.

W rzeczy samej te nogi nagie, zwieszające się z łóżka, zdawały się nie należeć do żywego człowieka — zsiniałe, sztywne.

— E, on już i w rękach kiepski...

Ręce, przy wkładaniu ich w rękawy, łamały się, jak z trzech drewnianych kołków złożone.

— Straśnie gęba poczerniała...

— To nic, to Kacper, jak tak roku umierał, to dopiero był czarniusienki, jak święta ziemia!

— O, zczernieje i on, chudzina, zczernieje! — zapewniała Maćkowa.

Maćiek słyszał wszystko i rozumiał, bo od czasu do czasu otwierał przymknięte oczy i przytomne rzucał spojrzenia; na twarzy jednak nie malowało się żadne poważniejsze uczucie, prócz wielkiego zmęczenia; rysy były jakby zastygłe w obojętności. Kobiety poruszały nim, jak rzeczą martwą: nie odzywał się wcale.

Kiedy go posadziły na stołku, aby przesłać łóżko, ledwo go mogły we dwie utrzymać pod ręce; głowa opadła mu na piersi i tylko ciche rżenie przekonywało, że żył jeszcze.

Powietrze w izbie było równie zimne, jak w sieni: chory skostniał i stęzał na tym stołku. Skończyło się nareszcie śłanie: świeża płachta pokryła łóżko, a na brudną wysypkę poduszki weszła nowa podszywka perkalowa, w pasy białe i czerwone, w zagadkowe jakieś kwiaty.

Kobiety odniosły Maćka na łóżko, wyciągnęły mu nogi, wyprostowały ręce, nakryły sukmaną i kożuchem i stanęły rzędem, wpatrując się w tę twarz zzieleniałą, bez życia.

Nagle wydało się Maćkowej, że przestał oddychać.

— Ła Boga! on już pomarł! — krzyknęła przerażliwie i wyciągnęła ręce, gotowa rzucić się na łóżko.

Chory westchnął. Westchnienie to było jak cichy prześwist wiatru, przeciskającego się przez nieostrzegalną szparę.



Owczarka przytrzymała Jarmołową za rękaw.

— Przecież zipie, słyszycie? — zawołała.

— Chodźcie — rzekła pastuszyna — zabierzcie chusty, w mojej chałupie obleczecie się z Kaśką: nie wypada tu izby zalewać, a i nam się trza opłókać.

Spotkały się we drzwiach z szafarką.

— Patrzcie państwo! czemuż tu takie zimno? — zaczęła żywo pani Purchalska — wino mam od pani dla chorego, dam mu zaraz, ale wy w piecu palcie, tak nie można...

— My tu izbę sprzątały, paniusiu złocista — objaśniła Maćkowa — megośmy czyścieńko ubrały i łóżko posłaly; ksiądz przyjedzie...

— Ksiądz? to dobrze, to bardzo dobrze, palcie że w piecu.

— Nie godzi się ognia palić przed Sakramentem, paniusiu.

— No, to wino dam na rozgrzewkę...

— Jakże to? przed spowiedzią?

Szafarka nie znalazła na razie odpowiedzi. Przystała do łóżka:

— Co? on śpi? — spytała. — Święte osoby! ależ on zbiedniał dopiero! cóż wy jego tak zniańczyły?

I, nie czekając, zwróciła się do kobiet:

— Gdzie wy teraz miały iść?

— Ocharużyć się trochę; ksiądz przyjedzie, my nie odziane...

— No, to idźcie że, idźcie, ja zostanę.

Wyprawiła kobiety, wyciągnęła z pod chustki butelkę z winem i zbliżyła ją do ust chorego.

— Macieju... mój Macieju... — powtórzyła parę razy.

Maciek otworzył oczy.

— Poznajecie mnie?

Skinął nieznacznie głową.

— Wypijcie że wina... pani przysłała... sił przybędzie.

Chory otworzył usta i wypił chciwie kilka łyków.

— Co, dobre?

Potwierdził mrugnięciem powiek.

— Zimno... — jęknął.

Otuliła go kożuchem, jak mogła najszczelniej, poprawiła głowę na poduszce i jeszcze kroplę wina wlała do ust.

— Ja wam — mówiła — herbaty gorącej przyniosę i bab się nie będę pytać i sama księdzu powiem.

Postawiła butelkę na oknie i wyszła, zdążając szybko ku dworowi, a przez drogę, swoim zwyczajem, rzucała głośno oderwane wyrazy:

— Komedja... jak szczęścia pragnę!... W rękach im zeszytniał... zameczyły... pierwszy raz widzę... ale, gdzie tam pierwszy! co mówię! Święte osoby!...

Kiedy się u pastuszyny kobiety umywały i zmieniały odzież, dzieci, korzystając z zamieszania, wymknęły się niepostrzeżenie i pobiegły do swojej izby. Hanka pierwsza uchyliła drzwi, ciekawym, trochę wystraszoną wzrokiem obrzuciła wszystkie kąty i wsunęła się do środka; za nią wcisnęły się Jantek i Zośka.

Stały dzieci czas jakiś, przytulone do siebie, nie śmiejąc się poruszyć. Po chwili Zośka wyciągnęła rękę i wskazując na łóżko, zapytała:

— Tata tam?

Hanka skinęła głową.

— Tatu, tatu! — zawołała głośno maleńka.

— Css... cichol!

I Hanka zamknęła jej usta ręką.

Ale Jantek zdobył się na odwagę:

— Tatu, dajcie bata!

I pobiegł do ojca.

— Jantek! — odezwał się Maciek.

Dziewczynki stanęły także przy łóżku. Maciek



położył rękę na głowie chłopaka, który znalazł się tuż koło poduszki.

Ta ręka, oddawna niedomyta, wydawała się teraz prawie białą.

— Tatulu, bata! — powtórzył Jantek.

— Nie mam, dziecko...

— Pójdziecie do stajni, tatulu?

— Nie...

— A kto da koniom obrok?

— Nie wiem...

— A który koń lepszy: kałtan czy siwy? Ja gadam, co kałtan...

— Siwy, siwy! — pisnęła Zośka.

— Który lepszy, tatulu?

Maciek nie odpowiedział; ciężką ręką próbował pogłaskać ogromną czuprynę Jantka, ale sztywne palce zaplątały się we włosach. Chłopak usunął się, ręka Macka opadła na krawędź łóżka; chwyciła ją Zośka i poczęła wdrapywać się na posłanie.

— Posadź ją Hanuś... — wyszeptał Maciek.

Hanka posadziła małą obok ojca. Zośka przytuliła się do piersi chorego, ale zaraz podniosła główkę:

— Tatu, co tam siedzi za pazuchą?

— Nie ma nic — powiedziała Hanka.

— A kiedy tam coś jazgoce...

— W pierciach tak gra... — rzekł Maciek.

— Ale wy nie będziecie umierać, tatulu? — spytała.

— Bóg wie...

— A jak was pochowają, tatu, kto robi bat, albo wózek? — pochwycił Jantek.

— Abo obazanka chto kupi? — dorzuciła Zośka.

Maciek poruszył głową i wpatrzył się w dziecko. Trochę mu twarz zadrgała, kilka razy opadły powieki i dwie łzy stoczyły się powoli na wąsy.

— Hanuś! — szepnął.

A gdy ta nachyliła się tak, że prawie dotykała uchem ust jego, mówił do niej z widocznym wysiłkiem:

— Pilnuj małych... matki słuchaj... w kieszeni kożucha sznurek... zrób Jantkowi bat...

Hanka znalazła sznurek, wyciągnęła z za pieca patyk, zrobiła bat. Uszczęśliwiony chłopak uwijał się po izbie, Zośka zsunęła się z łóżka i, niby koń, biegała przed Jantkiem.

Hanka znowu do ojca podeszła i dojrzała łzy, wpływające z zamglonych oczu.

— Czego wy, tatulu, płaczecie?

Usiłował objąć ją drżącą ręką.

— Słuchaj matki... Hanuś, — powtórzył ledwo dosłyszczanym tchem — małych pilnuj... gdzie Maryś?...

— Na gumnie, tatulu.

— Poszukaj... może zwolnią... matuli wołaj...

Hanka wybiegła, rada, że na gumno wyskoczy; upomniała Jantka, żeby batem nie trącał Zośki.

— Tatulu! — zaczął chłopak — stelmaszka mówili, co Paweł będzie trumnę robić...

— La kogo tłumnę? — przerwała Zośka.

— Dla tatula. Ale wy, tatu, nie leżcie w trumnę, bo was pochowają, jak Kaspra.

— I bedo dzwonić i bedzie ksiądz? — wołała maleńka.

— Wy się, tatu, nie dajcie brać księdzu! — ciągnął Jantek.

Maciek poruszył się cały na posłaniu i westchnął silnie.

— Nie bójcie się, tatulu, my was nie damy!

Zośka zaczęła się śmiać i powtarzała, podskakując:

— Nie dam tata, nie dam!



Wtem zaturkotała bryczka w opłotkach. Dzieci rzuciły się do okna.

— Szuraj! — krzyknął chłopak. — Szuraj z księdzem!

Pobladł malec; znać było przestrach w błękitnych oczach.

— Nie daj, Jantek, tatula! — powtórzyła jeszcze mała, a głos już płaczem nabrzmiwał.

Jantek ścisnął ją silnie za rękę.

— Zośka, cicho bądź, słyszysz! — szeptał jej do ucha z wielką mocą i pewnością siebie — pamiętasz, jakieśma marchew rwali?

Zośka trzęsała się już ze strachu.

— Pamiętasz, jak nas gumienny gonił?

— Pamiętam — odezwała się mała.

— My się zamknęli w chałupie... gumienny stukał i poszedł, i nic nam nie było!

— A nic — powtórzyła Zośka.

— Tera tak będzie, jak wtedy!

I chłopak zamknął drzwi drewnianą zasuwą.

— Nie odzywaj się, Zośka, słyszysz? Postukują i pójda... nie znajdują tatula...

Turkot ustał: bryczka zatrzymała się przed ośmiorakiem.

— Schowajmy się! — rzucił Jantek.

Zajrzeli za piec, zajrzeli pod ławę, poczem jednomyślnie poskoczyli do łóżka. Jantek podsadził Zośkę, wdrapał się za nią i oboje wsunęli się pomiędzy leżącego Maćka i ścianę. Skurczyli się, w kłębek się prawie zwinęli i schowali się z głowami pod połamami kożucha i sukmany, którymi okryty był ojciec.

Maciek w tej chwili drgnął silnie całym ciałem i znowu westchnął bardzo głęboko.

W sieni dały się słyszeć głosy kobiet; poruszyła się klamka, ktoś pchnął drzwi, ale te się oparły.

— Pewnie dzieci tam są...

— Hanuś, otwórz! — zawołała Maćkowa.

Znowu próbowano klamki, zaczęto stukać, dobić się. Niecierpliwe szepty napełniły sieni całą! lekano się wołać głośno, bo ksiądz stał na dworze z Panem Bogiem.

— Bośta same pewno, wychodząc, zamknęły i nie pamiętacie! — odezwał się Szuraj — gdzie klucz od zasuw?

Napróżno szukano klucza. Ktoś nareszcie przyniósł z kuźni haczyk, którym Szuraj odsunął zasuwę, i drzwi otworzyły się na oścież.

Rozstapili się wszyscy w sieni i poklekali. Stary ksiądz przeszedł pomalutku i pomiędzy klęczącymi i w połowie izby przystanął. Wyjął z rękawa chustkę i położył tymczasowo na stole; potem wydobył z tegoż rękawa małe pudełko drewniane, z pudełka okulary; okulary chustką dokładnie przetaił, dopiero je nałożył i zbliżył się do chorego.

Rozjaśniły się twarze klęczących kobiet.

— Chwałaż Ci, słodki Jezu! chwała! — wyszepiała Maćkowa.

Zdawało jej się, że z tym staruszkim-księdzem jakaś pociecha, jakieś wielkie dobro wstąpiło do izby, i na nią samą spływa i nad wszystkimi się unosi.

— Bóg z tobą, Macieju! — rzekł ksiądz.

Chory milczał. Pochylił się staruszek nad nim i zdawało się, że go budzi, za rękę nawet go wziął... Ale zaraz potem położył koło tej ręki krzyż, który miał przy sobie, ukląkł i mówić zaczął:

„Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie...”

\*

W niedzielę, po nabożeństwie, gromadka ludzi stała pod kościelnym parkanem.



— Co jemu było, temu Maćkowi, co jemu było?  
— zastanawiał się Szuraj.  
— Sądzone mu było! — rzekł stary Bratosz.  
— I dereszce też sądzone było — wtrącił kowal Aleksander.  
— Ślachcic... — burknął Bratosz — i odszedł.

## P A N P R E F E S O R.

SZKIC WIEJSKI.

Ponieważ Franciszek kategorycznie oświadczył panu Janowi Gdulskiemu, że nie będzie w stanie dać sobie rady, jeżeli mu wypadnie obsługiwać nauczyciela, który ma z Warszawy przyjechać, panu Janowi pozostawało więc: albo przyjąć chłopaka do kredensu, albo...

— Proszę cię, moja Teci, sam przecie nie będę temu panu butów czyścił!

— Któż o tem mówi! — oburzyła się pani Tekla.

— Mogłaby może Marysia... Nie wielka rzecz...

— Zapewne! Paradny jesteś! Rozumiesz chyba, że taki młody człowiek... niepodobna... żeby tego... dziewczyna...

— Ano, tak, jest racja. Ale Franciszek powiada, że nie będzie chodził do oficyny.

— To już twoja rzecz, mój drogi, wyłajać Franciszka i nie dać mu tutaj rządzić.

— Ja mu właśnie mówiłem, że, koniec końców, obsługa nauczyciela nie zajmie wiele czasu...

— No, więc niema już nad czem się zastanawiać.

— Ale poczekaj, kiedy-bo zawsze przerywasz!...

A on powiada: „Ja się, proszę pana, nierozzerwę!”

— Odpraw go, jeżeli nie możesz go przekonać.

— Z tobą, moja Teci, to, jak Boga kocham, jak z ogniem... Dyskusji przeprowadzić niepodobna; zaraz jest: odpraw, wypędź! Tak nie można!



— Rób, jak chcesz — rzekła pani Tekla — przepraszam cię, ale muszę iść, bo kucharz czeka...

— Dobrze, ale, uważasz, jabym chciał, żebyś ty z Franciszkiem pomówiła...

— O, proszę cię, uwolnij mnie od tego! — zawołała pani Gdulka. — Od dwunastu lat robisz wszystko to, czego chce Franciszek, więc i teraz zrób, jak on ci powie.

— Ależ kiedy on chce, żebym ja mu dodał chłopaka do pomocy.

— To mu dodaj; będzie jednym próżniakiem więcej do żywienia.

— No, sama widzisz, czasy takie ciężkie... Niech djabli biorą! Z tą służbą zawsze taki kłopot... Osły!...

Pani Tekla już tej konkluzji nie słyszała; wyszła, dzwoniąc kluczykami.

Panu Janowi tedy nie służył żaden wybór: Franciszek nie chciał; Marysi — nie wypadało; on sam — Gdulski, buty czyścić... Któż o tem mówi! Trzeba było postarać się o chłopaka.

Chłopaków znalazło się bez liku. Codziennie jakiś oberwany kandydat przychodził „do zgody”. Godził pan Jan i sapał, bo to męcząca rzecz z byle trutniem gadać i byłby w rezultacie któregośkolwiek zgodził, gdyby nie Franciszek. Temu kandydat zawsze się nie podobał i zawsze potrafił wytłumaczyć, że chłopak „na nic się nie zdał”.

Tak zeszyły prędko trzy tygodnie, i pewnego dnia doczekano się depeszy: „Proszę konie, niedziela. Bukłowicz”.

Do niedzieli zostawało tylko cztery dni. Mały Żenio chodził, jak struty; pani Gdulka zarządziła porządku na wielką skalę w pokoju, w oficynie; gospodarz trapił się myślą, że konie muszą iść do stacji kolei i nie mógł się zdecydować: które należy poświecić; a Franciszek? Franciszek postanowił nie ro-

bić trudności. Faktorka z miasteczka oznajmiła, że jest do wzięcia zaraz „fajn” chłopak, który służył u samego pana hrabiego w Żyrach.

Pachciarz przywiózł Jurka w niedzielę rano.

Franciszek dał natychmiast chłopcu własną swą burkę do oczyszczenia i kalosze do obmycia. Próba wypadła pomyślnie. Jurek bowiem zauważył odrazu, że guzik „przy burce kiepsko siedzi” i oświadczył chęć przyszyć guzika.

— Gdziebyś ty, baranie, przyszył! — lekceważąco, ale z pewnem zadowoleniem zauważył Franciszek.

— O jej! — odparł Jurek i niewiedomo dla czego, pocałował pryncypała w rękę.

Franciszek oświadczył państwu przy śniadaniu, że chłopak jest: „jak się patrzy”.

Jakoż państwo i Żenio zatrzymali się dłuższy czas w kredensie, ażeby patrzeć na Jurka. Pani Tekla o nic się nie pytała; wydał jej się trochę zamało umytm. Żenio zapytał go: czy lubi gołębie?

— O jej! — odpowiedział chłopak i roześmiał się. Żenio bez namysłu polubił go.

Pan Gdulski poddał Jurka pobieżnemu badaniu.

Dowiedział się, że chłopiec pochodzi z Galicji; że paszport złożył w kancelarji, w Krynkach; ostatnią służbę u hrabiego porzucił z przyczyn od niego — Jurka — niezależnych, mianowicie z powodu, że go „lokaje w łeb bili”; nareszcie, że jest „biedny sierota i już”.

Miał go pan Gdulski odziewać i dawać, „co łaśka, dopóki się nie przekona”...

Oczywiście, nie było czasu na szukanie kogoś więcej odpowiedniego; należało zresztą się przekonać. Tymczasem Franciszek był zadowolony, a to rzecz niemałej wagi.

Jurek mógł mieć około osiemnastu lat. Wyglądał



tak, jak powinien wyglądać chłopak kredensowy z głębokiej prowincji: niskie czoło, małe — wiecznie zaspane — oczy, szerokie usta i dziwnie fantastyczny nos; niestaranie umyta twarz, zupełnie niedbale umyta szyja i beczelnie zaniedbane ręce. Ubiór skromny: kurtka rudawego koloru, trochę za długa i za obszerna, guziki jakieś pamiątkowe, ale nie dobrane i liczbą nie odpowiadające dziurkom; spodnie szarawe, stanowczo za krótkie i za wąskie; buty... mniejsza o buty, chłopak kredensowy powinien chodzić boso, żeby nie robić hałasu.

Franciszek zdecydował, że tymczasem, póki lato, Jurek będzie spał w oficynie pod schodami, gdzie w ziemi składa się drzewo do pieców; tam też postawiono tapczanik z siennikiem.

Pan Bukłowicz, nauczyciel, przyjechał po południu. Gospodarz domu poznał się był z nim jeszcze w Warszawie; rozmowa podczas kolacji poszła dość gładko i byliby się może wszyscy doskonale zabawili, gdyby pan Bukłowicz, z okazji wzmianki o miejscowym proboszczu, nie był oświadczył, iż jest zawziętym przeciwnikiem celibatu.

Pan Gdulski w żart to obrócił.

— Nasz proboszcz ma siedemdziesiąt lat przeszło, już go pan nie przekabacisz...

— Coś podobnie monstualnego, jak celibat... — ciągnął, zapalając się, młodzieniec.

— Co to, mamusiu, ten monstrum celibat? — spytał Żenio.

Pani Tekla przypomniała sobie nagle, że nie wydała ze spiżarni grochu dla gołębi i wydelegowała Żenia po groch. Malec wybiegł uszczęśliwiony.

— Zdaje mi się, proszę panów — rzekła — że nie wypada przy Żeniu dotykać kwestyj religijnych.

— Myśmy o religii nie mówili — odparł pan Bukłowicz — mówiliśmy tylko o księżach.

— To na jedno wychodzi! — zawołała pani Tekla.

— A, przepraszam panią! Ja religję rozumiem jako dogmat, ale te wszystkie księżę formułki...

Pani Tekla zerwała się z krzesła.

— Dla mnie formułki te są nietykalne, święte: co do Żenia, radabym, żeby odrzucił je wtedy dopiero, kiedy się myśleć i rozumieć nauczy; dlatego też proszę panów o pobłażliwość dla nas obojga: dla mnie i dla mego chłopca.

Zaraz potem wszyscy uznali, że czas iść na spoczynek, chociaż nikomu spać się nie chciało.

Państwo Gdulscy trochę się w swoim pokoju posparzeczali co do pana Bukłowicza.

— Możesz go zrazić — rzekł pan Jan.

— Może być! — zawołała pani Tekla. — Mała szkoda; przyznam ci się, że mogłeś kogoś sympatycznego poszukać.

— Masz tobie! Już źle! A cóż on ci zrobił?

— Naprzód dyskusja religijna była zupełnie nie stosowna; następnie odpowiedział mi niedelikatnie; a potem, całe zachowanie się jego przy stole...

— Dalibóg, ja nic a nic nie widziałem!

— Bo nie patrzysz i nie uważasz. Garbi się, łokcie rozkłada, łyżeczki z filiżanki nie wyjmuje, w herbatę dmucha i ser je nożem!

Pan Jan zaśmiał się serdecznie.

— Już mu to daruj, kochanie, tę łyżeczkę i ten nóż — rzekł, całując rękę żony. — To, uważasz, studenckie jeszcze przyzwyczajenia; przyjechał do nas nie jako salonowiec, ale jako nauczyciel...

— Jeżeli tylko potrafi uczyć dobrze Żenia, to możesz być pewnym, że mu wszystko daruję — odparła pani Tekla.

W oficynie tymczasem Jurek zapalił lampę i kiedy wszedł pan Bukłowicz, usunął się pod piec i czekał.



— Coś ty za jeden? — zapytał nauczyciel.  
— Ja — Jurek, pomocnik lokaja.  
— No, kiedy tak, to idź spać.  
— Chciałbym buty zdjąć i ubranie zabrać...  
— Ja nie taki pan, żebym sobie butów nie ściągnął — burknął pan Bukłowicz. — Nie dam teraz butów, bo jeszcze będę chodził.  
— To ja pantofle wyjmę z walizki — zaryzykował Jurek, spoglądając na nierozpakowany tłumoczek.  
— A cóż ty myślisz, że ja muszę koniecznie mieć pantofle? — z odcieniem złości spytał pan Bukłowicz. Jurek milczał.  
— Dawno tu jesteś?  
— Dopierom nastał.  
— A gdzieżeś wprzód był?  
— U pana hrabiego w Żyrach.  
— To hrabia w pantoflach chodził?  
— A jakże!  
— No, to ja nie taka mała, jak twój hrabia, rozumiesz?

Jurkowi wydało się, że ten nowy pan lada moment palnie go w łeb. Jakoż niewiele myśląc: — Pomoże, nie pomoże — skurczył się i pocałował pana Bukłowicza w łokieć.

Pan Bukłowicz osłupiał. Jak daleko mógł sięgnąć pamięcią, nie przypominał sobie, aby go kto kiedykolwiek w taki sposób honorował.

Rozstawił ręce z pewnym niepokojem.

— Czego ty chcesz?

— Ja.. nic... proszę pana... — bąknął Jurek.

— Czyś ty zgłupiał! Czegóż ty mnie w rękę całujesz?

— Żeby się pan nie gniewał...

Pan Bukłowicz przeszedł się kilka razy po pokoju, nareszcie poklepał Jurka po ramieniu i rzekł:

— Nie powinienes nikogo w rękę całować; takiś ty człowiek, jak i inni; nie trzeba się poniżać.

Jurek nie rozumiał wcale, o co panu „profesorowi” chodziło; po raz pierwszy w życiu ktoś mówił do niego o rzeczach, z samowarem i szuwaksem nie mających nic wspólnego; czuł też jakiś dziwny szum w głowie, skutkiem czego zasnął, nie zdążywszy nawet zdjąć z siebie kurtki.

Nazajutrz odbył się egzamin Żenia w obecności ojca. Pan Bukłowicz osądził, że chłopak będzie mógł się przygotować na czas do pierwszej klasy; zaraz też i lekcje się zaczęły w oficynie.

— Proszę mamy — mówił malec wieczorem — profesor nazywa mnie Geniem i powiada, że wszyscy takby mnie nazywać powinni...

— Mniejsza o to, moje dziecko.

— I powiada, że Żenio to jest pańsko-francuski wymysł bez sensu...

Pani Tekla upuściła na ziemię naparstek i nożyczki.

— I powiada — ciągnął malec z pod stołu, dokąd chętnie po naparstek pośpieszył — i powiada, że jeżeli ja mam się nazywać Żeniem, to Jurka powinno się wołać: Żiurek...

— Byleś się dobrze uczył i był grzeczny, to każde imię będzie dobre — rzekła mama wymijająco. — A jakże ci lekcje poszły?

— Doskonale, proszę mamy.

— Rozumiałeś wszystko, co ci pan Bukłowicz tłumaczył?

— Rozumiałem wszystko; on lepiej nawet od tatusia umie opowiedzieć i wytłumaczyć, i nie gniewa się tak zaraz, jak tatuś.

Bukłowicz wymówił sobie, że poza lekcjami nie będzie się uczniem zajmował. Jakoż zwykle przesiadywał w swoim pokoju i wieczorami tylko wychodził



w pole lub na łąkę, starannie unikając spotkania się z państwem domu, z którymi widywał się z konieczności przy stole. Był małowimowy, a wobec gości zupełnie milczący.

Państwo Gdulscy dziwili się, jakim sposobem Żenio polubił swego nauczyciela, a Żenio rzeczywiście go polubił i więcej mu był posłuszny, niż ojcu.

Bukłowicz imponował chłopcu prosto tem, że był zupełnie inny, niż wszyscy domownicy i goście; prócz tego nigdy nie zrzędził, nie zwracał uwagi na brudne palce ucznia, ani na rozczochraną głowę, ani na poplamione atramentem rękawy.

— Żeniu, co ty z tym atramentem wyrabiasz? — odezwała się raz przy obiedzie matka. — Dlaczego się powalałeś?

— Ja nic nie robię... Ja tylko pisałem...

— Nie dać mu dziś leguminy i kwita! — wtrącił ojciec.

— Genio bardzo dobrze się uczył — zaświadczył Bukłowicz.

— Ależ te plamy wszędzie: na twarzy, na ubraaniu... Te ręce, których domyc niepodobna — zaczęła matka.

— Taaak, to atrament — spokojnie stwierdził Bukłowicz.

Żenio z zachwytem spojrział na nauczyciela i nałaj mu z karafki pełną szklanek, chociaż ten wcale wody nie żądał.

Sympatje Żenia podzielał Jurek, który, z tytułu zamilowania do gołębi zyskał w Żeniu przyjaciela.

— Nazywaj mnie Geniem, jak profesor mówi, a nie paniczem.

— Nie można, paniczu, paniby się gniewała.

— To nie mów do mnie przy mamie. Profesor powiada, że kto jest paniczem — nie będzie nigdy niczem.

— A bo co?

— Bo ten człowiek, który nie pracuje — nic nie wart.

— Panicz i tak pracować nie będzie —bo będzie paniczem.

— Ale ty nie rozumiesz... Przecie nie koniecznie rękoma się pracuje.

— A ino czem?

— A głową... Przecie jak ja się uczę, to też robotę robię.

— Tak — z wyraźnym uśmiechem potwierdził Jurek — ale dla panicza ta nauka się skończy, jak panicz na pana wyrośnie i wtedy jaka tam będzie robota?... Nijaka!

— Profesor powiada, że choć człowiek wyrośnie, to nie przestaje się uczyć; niby to samo, co pracować.

— Ale! ale! akurat... On dobrze gada, ino do takich, jak on sam: pieniędzy niema, gruntu niema, to i musi na zarobek iść, choć jak on tutaj, do nas. A niechno on powie o robocie takich panów, co grunt i pieniądze mają! Abo to nasz dziedzic ma jaką pracę? Pilnuje, żeby służba robiła — i już.

Żenio nie znalazł narazie odpowiedzi. Jakoś mu się praca ojca nie przedstawiała wyraźnie. Po chwili jednak zawołał triumfująco:

— A mama?

Teraz Jurek poczuł się zakłopotanym.

— Pani to ma robotę — odparł powoli — z samym kucharzem co to kłopotu, a z ogrodnikiem... albo i z lokajem. Paniczu, ten Franciszek, to całkiem nie chce już froterować, ino na mnie wali cały dom.

— Ja ci kondlu, zafroteruję... zobaczysz! — odezwał się nagle głos Franciszka.

Pokazało się, że pryncypał Jurka, swoim zwyczajem, podsłuchiwał za drzwiami. Jurek odrazu gdzieś



zniknął. Żenio, przeciwnie, postanowił stawić czoło przeciwnikowi.

— Proszę, niech Franciszek nie bije Jurka.

— Nie daruję mu, bo wart bicia.

— A co on złego zrobił?

— Niech Żenia nie bałamuci, a na mnie nie wygaduje.

— A kiedy ja Franciszka proszę...

— Niema za kim prosić; ja mu nie podaruję.

— No, to ja pójde do mamusi: niech rozsądzi, czy Jurek co złego zrobił. Gdzie jest mama?

I Żenio udał, że chce odejść.

Franciszek nie lubił pani Gdulskiej w roli sędziego. Miała ona nieznośny zwyczaj przypominania Franciszkowi wszystkiego, co należało zrobić, a czego on — niby to nie zrobił; miała jakieś takie oczy, które każdą pajęczynę w najciemniejszym kącie dostrze-gły — i dziwny dar wynajdywania Franciszkowi za-jęcia.

Lubił on swoją panią i był jej w gruncie rzeczy życzliwym — ale lubił ją zdaleka.

— No, no, niech Żenio mamie głowy nie zawraca. Ja tylko na żarty wygrażałem Jurkowi.

— Napewno, Franciszku?

— Żebym tak zdrow był.

Jurek tymczasem przycupnął w ogrodzie warzywnym. Trzeba było bardzo dobrego oka, aby do-patrzeć, że rozczochrana głowa chłopaka wygląda z pomiędzy fasoli. Na to jednak, żeby Jurka szukać w fasoli, nie tyle oczu, ile domyślności było potrzeba: obok fasoli rosła na grzędzie pietruszka, którą w tej właśnie chwili pełła Hanka. Dziewczyna nawpół sie-działa, nawpół leżała w głębokiej bruździe: głowę zwróciła ku fasoli, śmiały się jej wielkie szafirowe oczy, śmiały się malinowe usta, błyskały na słońcu nieposłuszne nad czołem płowo-złociste włosy, a wy-

sunięta z pod krótkiej spódnicy noga poruszała się raz po raz na cieplej ziemi.

Hanka wiedziała, że ogrodnik w inspektach za-jęty. Że jednak strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc — od wypadku — prawą rękę trzymała na grzędzie z pietruszką.

— Pójdiesz ty, Jurek, stąd, czy nie pójdiesz? — pytała chłopaka.

Jurek przecząco pokręcił głową.

— Ino tak, tutaj będziesz w tej fasoli rość?

Jurek skinął twierdząco.

— Lepiejbyś w maku stanął, toby ci w twojej makówce prędzej jakie ziarno doszło na słońku.

— Mnie i tu, w cieniu, jak na ciebie patrzę, wszystkie ziarenka w głowie taki szum robią, jak w ma-kówce — przemówił Jurek, wychylając twarz roz-czerwioną.

— Oho, to już z ciebie nie wiele co będzie! Kie-dy tak szumi — to musi ty masz łeb pusty — i wczorajszy wiatr w nim chodzi.

— Ty, Hanka, wciąż jeno kpisz i kpisz, a do-brego słowa od ciebie usłyszeć trudno.

— A powiedzieć ci dobre słowo?

— Powiedz! — szepnął chłopak.

Hanka przymrużyła oczy, zabawiała się przez chwilę śmieszną miną Jurka i rzekła:

— Niech Pan Bóg prowadzi! Masz na drogę!...

I rzuciła mu grudkę ziemi.

Ale głowa Jurka cofnęła się wcześniej w fasolę. Nie przestraszył go gest dziewczyny, ale kapeluszy profesora.

Kiedy pan Bukłowicz, używający zwykłej samotnej po ogrodzie przechadzki, mijał grzędę pietruszki, zobaczył Hanke, która wydała mu się tylko pieleniem zajęta. Twarzy dziewczyny nie mógł widzieć, ale grzejąca się w słońcu noga przedstawiła mu się w ca-



łej okazałości. Obrzucił ją spojrzeniem, przyspieszył kroku do zakrętu ścieżki; zwrócił się napowrót i przeszedł znowu koło grzedy tak ostrożnie, żeby skorzystać z każdej sekundy, w której oko mogło oglądać Hankę; następnie jeszcze raz ten manewr powtórzył i na zakręcie przystanął.

Jurkowi pilno było wyjść z ukrycia i czekał tylko oddalenia się profesora. Profesor tymczasem powolutku zapalał papierosa, następnie powolutku go palił — i stał w miejscu.

Jurek kłął go w duchu bez miłosierdzia. Pan Bukłowicz w żaden sposób nie mógł się tego domyślać, był bowiem pogrążony w rozpamiętywaniu przeszłości.

Starał się przypomnieć sobie: czy kiedykolwiek w życiu widział taką pełną, okrągłą, jędrną i jak różowe jabłko zabarwioną łydkę?

Im dłużej szukał w pamięci, tem silniej ugruntuował się w przekonaniu, że nie widział takiej.

Niewiadomo dlaczego, balet mu się kilkakrotnie przesunął przed oczyma, chociaż na przedstawienia baletowe nigdy z zasady nie chodził i widywał baletnice tylko w niektórych operach...

Nie! Tamte nogi w trykotach — to zupełnie co innego!... Przypomniawszy sobie niektóre obrazy z wystawy sztuk pięknych i Krywulła. Jak na złość nic smacznego tam nie było; rozebranych dam mnogość wielka: na tle chmur, na półmiskach szpinaku, w zupie szczawiowej, w ognistej ziemi, w fantastycznej wodzie — ale wszystkie te panie miały nogi z włoskiego makaronu, z łożu, wreszcie może niektóre i cielistego koloru — przecie nie takie, jak ta noga, którą tu widział.

To coś nadzwyczajnego: on nietylko widział, ale czuł tę okrągłość, tę barwę zdrową, to życie.

Jeżeli człowiek od małpy pochodzi, a przecie,

rzecz oczywista, od małpy musi pochodzić — cóż to za przeskok szalony!

Tu pan Bukłowicz uczuł jeszcze konieczną potrzebę porównania obrazów, które miał w myśli, z rzeczywistością — i znowu kroki ku grzędzie pietruszki obrócił. Doznał jednak zawodu: Hanka zmieniła pozycję, kucnęła na grzędzie i twarzą do ścieżki była zwrócona.

Pan Bukłowicz przystanął i zajął się zapalaniem nowego papierosa. Chciał się zapoznać z Hanką, a nie miał pojęcia o tem, w jaki sposób zawierają się znajomości na wsi. Hanka może i domyślała się tego, ale zdawała się niezmiernie robotą zajęta.

Pan Bukłowicz przypomniawszy sobie w porę przysłowie, przez któregoś z kolegów powtarzane przy preferansie: „*ki ne rizik pa rie — na pa rie*” — i odezwał się z pewnem wzruszeniem, które mu głos tłumiło:

— Co to się piele?

Dziewczyna nie dosłyszała, czy też udała, że nie słyszy.

— Proszę mi powiedzieć, co to się piele? — powtórzył.

Hanka milczała.

— To niegrzecznie nie odpowiadać, kiedy się ktoś grzecznie pyta.

I to pozostało bez skutku.

Wtem myśl szczęśliwa nasunęła panu Bukłowiczowi wyrazy:

— Boże dopomóż!

— Daj Panie Boże! — zadzwieczało z grzedy.

— Ciężko tak samej plec, prawda?

— Co ma być ciężko!

— Bo nudno: niema z kim rozmawiać.

— Od gadania jest wieczór, a dzień od roboty — odparła Hanka.



Pan Bukłowicz niezmiernie się ucieszył: widoczna rzecz, że między obyczajem miejskim i wiejskim żadnej niema różnicy.

— A gdzież można porozmawiać wieczorem? — zapytał.

— Jużci w czeladnej kuchni.

Tego adresu nie spodziewał się pan Bukłowicz, więc żądał bliższych objaśnień.

— Jakto w czeladnej kuchni?

— A gdzieżby? — obojętnie odrzekła Hanka, ale przytem podniosła głowę i spojrzała na pytającego.

Ten miał sposobność zauważyć, że dziewczyna ma bardzo wesołe oczy.

— Ano, w innem jakim miejscu...

— Inszego miejsca niema; dla państwa są pokoje, dla nas jest kuchnia.

— A jak jabym chciał porozmawiać?

— Niby z kim?

Tu Hanka znowu pokazała oczy i nawet się uśmiechnęła.

— Z taką ładną, jak ty... — zaryzykował pan Bukłowicz.

— E, to u nas tu takiego miejsca musi niema — powoli, jakby z namysłem odpowiedziała dziewczyna.

— A jak ja wyszukam?

— To pan znajdzie.

— A jak znajdzie, to dobrze będzie?

Hanka roześmiała się.

— Temu, co znajdzie — zawsze dobrze, ino temu, co zgubił — źle.

Pan Bukłowicz, mimowoli może, postąpił dwa kroki in bok ścieżki i stanął w bruzdzie; ale jednocześnie zaszeleściło coś pomiędzy fasolą i dał się słyszeć wyraźny trzask łamanych tyczek.

— Ola Boga! pies! — zawołała Hanka; wypro-

stowała się na grzędzie i uczyniła ruch, jakgdyby zabierała się do ucieczki.

Pan Bukłowicz byłby przysiągł, że nawet szczeknięcie psa słyszał; nie czekając na bliższe dowody, odskoczył na ścieżkę i śpiesznym krokiem posunął się ku domowi.

Jurek jednocześnie pomykał inną drogą, wpadł do klombów i stamtąd wydostał się na dziedziniec.

Hanka tymczasem zanosila się od śmiechu, a że brudną ręką zakrywała usta i obcierała oczy, więc też umorusała się dostatecznie.

— A tyś sobie spała, psia duszo! — rzekł ogrodnik, który nadszedł niebawem. — Nie bój się, ja zaraz poznam!

— Właśnie, żem nie spała.

— Aha, pewnie, że nie! Tylko tak jakeś gębą do grzedy przyległa, tak jeszcze i ziemi nie obtarła.

— Pan Ferdynat akurat nie poznał: właśnie ręką od plewidła gębę obcierała.

— A po czem?

— Po śmiechu.

— Łżyj, łżyj!... Niech kto inny temu wierzy.

Hanka nie czuła się posądzoną dotkniętą. Wspomniała sobie przygodę z profesorem i nanowo wybuchnęła szczerym śmiechem.

Pan Ferdynand, ogrodnik, miał wielką dla Hanki sympatię. Tem łatwiej dawało się to usprawiedliwić, że był kawalerem. Nie myślał, oczywiście, o ożenieniu się z Hanką, bo ogrodnikowi z dziewczką żenić się nie wypada, ale że mu się podobała — to podobała. Z tego względu starał się, o ile mógł, wynajdywać dla dziewczyny robotę gdzieś na osobność.

Pan Ferdynand uczuł się obrażonym, że Hanka, patrząc na niego, śmiała się do rozpuku.

— Gadaaj, co wiesz! — zawołał.

— E... nic... ja sobie... tylko tak...



— Ze mnie? co?

— O, pan Ferdynat zara już w złości.

— To gadaż z kogo?

— Z profesora.

Ogrodnik przyskoczył do Hanka.

— Co? On ciebie zaczepiał? — pytał z błyskiem w oku.

— Gdzieżby zaś — odparła spokojnie.

— A co powiedział?

— Nic nie gadał, ino se szedł ścieżką i jakiegoś psa zobaczył, i tak się zląkł, że poleciał do pokojów.

Ogrodnik szturchnął dziewczynę w bok.

— Prawdę ty gadasz, Hanka?

— Ano, niech ta fasola przyświadczy, bo wiedziała — odparła dziewczyna.

Spojrzała ogrodnikowi w oczy i uśmiechnęła się zalotnie.

— Słuchaj-no, ty... — zaczął Ferdynand, kładąc rękę na jej ramieniu — ja przyjdę...

Hanka usunęła się w bok, przysiadła na grzędzie i zawzięcie zabrała się do chwastów.

Ogrodnik mógł być przysiąc obok niej i dokończyć to, co zaczął mówić w zaufaniu, ale że fasola zakrywała grzędę z jednej strony, a słońce silnie dogrzewało, więc uznał za stosowne odłożyć dalszy ciąg na potem.

Odszedł powoli w nadziei, że co się odwlecze, to nie uciecze.

Innego zdania był furman Michał.

— Trza, paniczu, pamiętać — mówił do Żenia, który z Franciszkiem stał pod stajnią, — że co się odwlekło, to się wściekło. Jak się czego nie złapie, to i niema!

— Ja prosiłem mamy, cóż, kiedy nie chciała pozwolić — tłumaczył się chłopiec.

— Wola mamy, ale później raków nie będzie, bo chłopaki ze wsi wszystkie wyłapia.

— O jej! O to nie trudno — potwierdził Franciszek.

— Przecie pod mostem rzeka nasza i aż do mły-na nasza — zauważył Żenio.

— Tak, ale czy to kto chłopów upilnuje? — odparł Michał.

— Upilnować można — poprawił Franciszek — ale to nie na naszego ekónoma rozum.

— Ja, bywszy panem, takiego okumona do zachodu słonka bym nie dotrzymał. Dla koni owsa niema, a dla jego krów wszystko zawsze jest.

— Mama mówiła — przerwał Żenio — że w sobotę poprosi profesora, żeby ze mną pojechał na raki.

— Taki on akurat do raków, jak Miemieć do pacierza — zauważył Franciszek i machnął ręką.

— Zwyczajnie chruściel z miasta — poprawił Michał. — Przylazł tu kiedyś do stajni; postął, postął, popatrzał na konie, popatrzał i powiada: „Darmozjad-y w wygodach stoja, a chabety na darmożjadów pracuja.” Myślę sobie: co on takiego rozumie? Ale nie gadam nic. A on dopiero na mnie popatrzał i mówi: „Jak między końmi, tak i między ludźmi, co?” Ja — nic. On się wykreślił i poszedł. A ja sobie tak myślę: żebyś ty furmaństwo znał, tobyś wiedział, że cugowy koń gorzej się nieraz spracuje, niż fornalski; to trza tylko chłopem być na to, żeby cugowemu koniowi wydziwiać. Kto konia nie lubi, ten z łyków może jest, abo z chłopów, ale nie z panów.

— On lepiej jeszcze umie zakręcić — podchwycił Franciszek. — Któregoś dnia dałem w łeb Jurkowi, bo oczyścił pana but jeden i panicza jeden kamazek i jucha, jak gdzieś poszedł, tak przepadł! Tu pan wstał, woła butów, tu pani znowu krzyczy o kamazski, a tu nie poczyszczone... Dałem w łeb. Chło-



pak zara do profesora. Oni tam z sobą w przyjaźniel-  
stwie... (uśmiechnął się i splunął). Spotkał mnie pre-  
fesor, po śniadaniu, w sionce i powiada: „Biliście Jur-  
ka?” Gadam mu, jak było. A on na to: „Toście nie-  
sprawiedliwie zrobili.” A ja dopiero tak: „To — mó-  
wię — może ja mam za chłopaka robotę robić?” On  
znów powiada: „Chłopaka trzeba uczyć, ale nie bić.”

— „A posłuch bez bicia jaki będzie?” — ja go  
się pytam. „Posłuch — powiada — przez rozum, a nie  
przez kułak przychodzi”. A ja mu dopiero mówię:  
„Dobrze, panie, ale rozumu Jurkowi kułakiem trzeba  
nakłaskać...” i śmieję się. A jemu ino się oczy zaświe-  
ciły, jak latarki, wysunął do mnie głowę, jak kogut,  
co chce pisać i wyraźnie mnie powiada: „Przyjdzie —  
powiada — niezadługo czas, że każdy sam buty swoje  
czyścić będzie i każdy człowiek będzie wierzył, że ro-  
zum z nauki idzie, a gatunek takich głupich, co wierzą  
w kułak — wyginie marnie!” Trzasnął drzwiami i po-  
szedł. Żeby się tak nie bał państwu narazić, byłbym  
ja wiedział, co jemu powiedzieć! Byłbym ja jemu od-  
dał słowo za słowo. Nie wiadomo, kto z nas marnie  
zginie: czy ja, com, chwała Bogu, dzieci już wycho-  
wał i jeszcze mi dwie krowy zostały, czy on, co w swo-  
jej walizce skarpetek całych nie znajdzie!!

Żenio uczuł się nieszczęśliwym. Od czasu jak sie-  
bie na świecie pamiętał, lubił Michała i Franciszka, od  
niedawna prawdziwie polubił swego profesora — i oto  
teraz tamci dwaj na tego powstawali. Ze względu na  
to, że Michał reprezentował stajnię, która była pod  
bezpośrednim zarządem ojca, i że Franciszek poru-  
szył kwestję butów i karcenia Jurka, a obie te kwe-  
stje także chyba najlepiej ojciec mógł rozstrzygnąć,  
należałoby wszelkie z tych tytułów pochodzące wą-  
pliwości oddać pod sąd ojca. Ale ojciec nigdy nie miał  
czasu, bo albo był w polu, czy na gumnie, albo ga-  
zetę czytał, albo papierosa palił i nie lubił, żeby mu

przeszkadzano. Żenio więc opowiedział wszystko  
matce.

Pani Tekla wysłuchiwała bardzo cierpliwie i by-  
łaby zapewne wytłumaczyła Żeniowi różnicę zapatry-  
wań profesora i służących, gdyby nie to, że właśnie  
wtedy, kiedy zaczęła: „Uważasz moje dziecko...” sza-  
farka przysłała Julkę po mydło.

Julka nie mogła czekać, bo i szafarka czekaćby  
musiała, i w praniu nastąpiłaby szkodliwa przerwa.  
Pani Tekla poszła natychmiast do spiżarni. Żenio  
mógł poczekać, bo miał czas, zaczął więc czekać, ale  
zapomniał skończyć i pobiegł do gołębi.

Pan Bukłowicz codziennie wieczorem zasadzał  
Jurka w swoim pokoju za stolikiem i uczył go pisać.

Chłopak umiał już czytać, której to sztuki sam  
nie wiedział, kiedy i jak się nauczył. Ten i ów swego  
czasu „pokazywał mu litery”, każdy z pokazujących  
czuł się w obowiązku drzeć go za łeb: ten żartem, ów  
naprawdę, dosyć, że czytanie jakoś „samo przyszło”.

Z pisanem trudność była wielka z tego względu,  
że nauka odbywała się późnym wieczorem, po skoń-  
czeniu wszystkich domowych porządków, a wtedy  
właśnie Jurek był zawsze śpiący. Jurek czuł, że  
gdyby mu profesor dał dobrze po karku, odrazu by mu  
się spać odechciało. Ale myśl ta była od profesora  
daleka. Jurek raz po raz mrużył oczy i stukał nosem  
w papier, a pan Bukłowicz chodził wielkimi krokami  
po pokoju i często bardzo pięknie mówił sam do  
siebie.

Pewnego razu monologował z niezwykłą werwą:

... „Żywioły budownicze w ludzkości: towarzy-  
skość, wspólność, gwoli uorganizowanej na Zachodzie  
walce pracy z kapitałem, zatopione we krwi, abstrak-  
cyjnie ledwo objawiające się w literaturze braterstwa,  
w formie, która napróżno woła o wcielenie, żywioły  
te, z pierwiastków gminnych wyrosłe, uległy z jednej



strony indywidualizmowi, z drugiej — metodycznej centralizacji... Duch za słowo swoje postawi wolność we wspólności..."

Spojrzał w stronę stolika.

Indywidualizm Jurka nie mógł się pogodzić z metodyczną centralizacją uwagi nad papierem; duch dał wolność ciału: chłopak spał, jak zabity.

Pan Bukłowicz obudził Jurka, kazał mu dokończyć pisać rozpoczęte zadanie, poczem, mając zapewne na uwadze to, co przed chwilą wspominał, że „towarzystwo i wspólność są żywiołami budowniczymi w ludzkości,” zagadnął:

— Słuchaj, Jurek! Jakby tu przy stole ktoś drugi z tobą siedział przy nauce, możebyś nie spał?

— Niewiadomo — ziewnął chłopak.

— No, ale pomyśl przecie.

Dobrze gadać temu, komu się spać nie chce, ale Jurkowi myślenie nie przychodziło łatwo o pół do dziesiątej wieczorem, więc bąknął zcicha:

— Kiedy nie wiem, ktoby taki siedział.

— Możeby Julka chciała się uczyć? — zawołał profesor.

— E, nie... ona z szafarką już śpi o tej porze.

Pan Bukłowicz zbierał przez chwilę myśli, narzeczcie także ciszej powiedział:

— To możeby Hanka?

Jurek nagle się ożywił.

— Mnie tam do tego nic — odrzekł prędko — ale niech-noby ona tu przyszła, toby się zaraz taki zdybał, coby ją roztrząsał...

Jurek spał smaczno pod schodami, a profesor tymczasem mierzył swój pokój niecierpliwym krokiem.

\*

— Podłe są wszystkie formułki, w które wtłaczane są objawy wewnętrznego naszego stanu — mówił pan Bukłowicz w niedzielę, siedząc na ganku domu ekonoma i byłby niewątpliwie myśłą swą rozwinął i dokończył.

Ale ekonom, pan Husty, pasjami lubił okazywać swoją domysłność, więc w lot pochwycił słowa gościa.

— Tak, proszę pana, tak, to święte słowa. Podły nasz stan! Wszystko na nas wtłaczają; nad siły ludzkie, panie, a poszanowania należnego, ani wynagrodzenia nie mamy.

Ekonomowa, obok męża siedząca, westchnęła głośno.

— Co tam, Florku, daj spokój! — rzekła.

Pan Bukłowicz prawie w każdą niedzielę i święto przychodził do państwa Hustych na krótszą lub dłuższą pogawędkę. Mężczyźni zapoznali się ze sobą na polu, przy sprzęcie koniczyny.

Ekonom tłumaczył Żeniowi, który przyszedł z profesorem, że koszenie potrwa ze dwa dni dłużej, niżby trwać powinno, a to dlatego, że „z tem byłem, kosiarczami, rady sobie dać trudno”.

Pan Bukłowicz wtedy zwrócił uwagę na niestosowność takiego wyrażenia i objaśnił, że jeżeli zwykli surdutowi ludzie będą włościan-robotników nazywali byłem, wtedy nie mogą się obrażać, jeżeli, naprzykład, jaki hrabia nazwie byłem ich, zwyczajnych surdutowców.

Żeniowi bardzo się to wyjaśnienie podobało; ekonomowi mniej narazie przypadło do smaku.

Skoro jednak profesor w dalszym ciągu rozmowy wspominał o wyzyskiwaniu klas pracujących i stanowczo stwierdził równe wszystkich ludzi prawo do wzajemnego szacunku, pan Husty uznał za pożyteczne dla siebie i pochlebne bliższą z profesorem zawrzeć znajomość.



Pan Bukłowicz lubił nauczać — i oto przyczyna świątecznych odwiedzin.

— To jest takie nasze położenie — ciągnął pan Husty — że dalej nie idzie. Żeby, proszę pana, mówić nie wiem jaką prawdę, nikt nie wierzy! Tu tak ciężko człowiekowi, że strach, a tu z jednej strony każdy dziedzic radby coś obciąć zamiast dodać, a każdy szelma chłop (oj, przepraszam pana... ale takie już przyzwyczajenie... ja wcale nie ze złego serca...) każdy włościanin, czy parobek powiada: bodaj-to ekonomskie życie!

— Och, Boże! — westchnęła ekonomowa.

— Weźmy, proszę pana profesora, na przykład krowy...

— Florku, daj spokój...

— Pozwól, moja kochana, wiem, co mówię! Weźmy na przykład krowy. Pan profesor się nie obrazi? Proszę, co też, według pańskiego zdania, ekonomska krowa powinna jeść?

Pan Bukłowicz zmarszczył czoło i wydał usta.

— Powiem panu — rzekł — ta kwestja jest mi zupełnie obcą... Przedewszystkiem chodzić nam powinno o uregulowanie stosunków pomiędzy ludźmi... Po takim uregulowaniu kwestja żywienia inwentarza, sądzę, że sama przez się przestanie być sporną...

— To dobrze, proszę pana, to tam wszystko to... kiedyś... kiedyś... ale tymczasem, co sprawiedliwość nakazuje, żeby ekonomska krowa jadła?

— No, cóż? — niechętnie zaczął pan Bukłowicz — słusznie byłoby dawać krowie, jak wogóle wszystkiemu stworzeniu, to, co jeść może, co lubi, co najwięcej odżywia...

— A pana dziedzica krowa co ma jeść?

— No, to samo — niecierpliwie odparł profesor.

— I ja, proszę pana, tak myślę, to jest myśl całego mego życia! — triumfująco zawołał pan Husty.

Ale co innego sprawiedliwość, a co innego porządku na świecie! Czy pan profesor wie, że dziedzic koniczyzny w zimie dla ekonomy nie daje, że ekonomska krowa makucha nie widzi? Całej parady wytłoki, to tyle, co nic, trochę melasu — to także nic, a żeby nawet i marchew, to także mało co znaczy. Dość, że koniczyzny i makucha niema.

— Wola Boska... — wyszeptwała ekonomowa.

— Więc pan powiadasz — odezwał się pan Bukłowicz, w chęci gruntownego poznania sprawy, — że dwór nie chce dobrze żywić pańskiego bydła, ani wogóle krów służby całej?

— Przepraszam pana profesora, ja już o parobskiej oborze nie mówię, tylko o tych kilku moich ogonach.

— A dlaczego? Czy parobcy nie mają krów?

— Owszem, mieć — mają, ale trudno, proszę pana, żeby ich bydło jadło to, co i dworskie, albo i ekonomskie!

— To ja panu powiem — spokojnie, ale dobitnie odparł pan Bukłowicz — że ja inaczej tę rzecz rozumiem. Prosta sprawiedliwość wymaga, żeby jedne krowy nie jadły gorzej od innych krów...

— Ach, nie wystarczy dla wszystkich! — jęknęła mimowoli ekonomowa.

— Gospodarstwo powinno być tak urządzone, żeby wystarczyło. Co krowa winna, że należy do tego a nie do tamtego? Jeżeli państwo chcecie sprawiedliwości, czyli równości, to krowa fornała taka dobra, jak państwa, jak i dworska.

— Prawda... Bóg miłosierny jednakowo stworzył... — niby w zamyśleniu rzekła ekonomowa.

Ale pan Bukłowicz nie lubił odstępować od przedmiotu rozprawy przed zupełnem wyjaśnieniem rzeczy, więc przerwał:



— Nie o to chodzi, kto krowę stworzył. Pan Bóg — nie Pan Bóg, czy sama krowa się stworzyła...

— Jezusie!... Co pan mówi? — na cały głos zawołała ekonomowa; zerwała się z ławki, jakby sprężyną ruszona i stanęła zdrętwiała.

— Emilka, nie przeszkadzaj! — upominał pan Husty.

— Chodzi o to — ciągnął dalej pan Bukłowicz, nie zważając na postawę ekonomowej — że, jak to panu nieraz mówiłem, prawdziwa równość nie znosi nierówności: takie ma prawo dziedzic do krowiego mleka i mięsa, jak i pan, oficjalista, jak i każdy parobek; takie ma prawo do tego tam... makucha, czy czego... dworska krowa, jak i pańska, jak parobska. Jeżeli na świecie inaczej jest — to jest źle!

— O, że źle, to źle. Świństwo jest! — stanowczym głosem rzekł pan Husty.

— To też trzeba myśleć nad tem, żeby i gospodarstwo na wsi i gospodarstwo na świecie tak urządzić, żeby było nie źle, ale dobrze. Wszak prawda?

Obejrzał się profesor, ale ekonomowej już na ganku nie było.

— Wiesz pan co? — rzekł do ekonoma — mnie się zdaje, że żona pańska o coś się obraziła.

— A gdzieżby to być mogło, proszę pana! — zaprotestował pan Hausty i zawoła, otworzywszy drzwi do sieni: — Emilka!

Nikt nie odpowiedział.

— Ona dziecko niezawodnie karmi... nie słyszy... Niech pan profesor będzie pewny, że nic podobnego... Ja przecież za moją żonę ręczę...

Pan Husty podwójnie zgrzeszył: naprzód tem, że zaręczył, powtóre tem, że nieproszony ręczył. Miał się też niebawem przekonać, jak lekkomyślnie dał swoje żyro.

•

Państwu Gdulskim bardzo było przykro, że nauczyciel Żenia unikał ich towarzystwa.

Próbowali prosić go, aby został z nimi po kolacji, kiedy było kilka osób z sąsiedztwa; próbowali namówić na jakąś wycieczkę, niejednokrotnie usiłowali przedłużyć zaczęta przy obiedzie rozmowę, słowem, robili co mogli dlatego, aby zbliżyć do siebie pana Bukłowicza — wszystkie jednak te starania pozostały bez skutku. Zdawało się, że polubił Żenia, bo czasami zabierał go na przechadzkę do lasu lub w pole; pięć godzin dziennie poświęcał na naukę chłopca, godzin tych ściśle przestrzegał; Żenio uczył się pilnie i stopniom w dzienniczku nie było nigdy nic do zarzucenia. Do pana Gdulskiego profesor się nie zbliżał; od pani domu wprost uciekał. Przyparty do muru, wymawiał się, że ma wiele do roboty, gdyż sam nad sobą pracować musi. Odpowiedzi jego bywały czasami dziwne ostre, prawie niegrzeczne, chociaż zdawało się, że mówiąc tak — jak mówił — bynajmniej nie chciał nic przykrego powiedzieć. Jeżeli niekiedy przy stole wdawał się w obszerną dyskusję — a niezmiennie rzadko to się zdarzało — dowodził zawsze w taki sposób, jakby z góry przewidywał, że nikt go nie zechce rozumieć, jakgdyby pomiędzy nim i słuchaczami był jakiś niezgłębiony i wieczysty przedział.

— Nie tęskni pan za miastem? — zapytała go pewnego razu pani Gdulska.

— Nie.

— Bo mnie się zdawało, że tutaj musi panu brakować towarzystwa, tego ruchu wielkomiejskiego.

— Do dorożek i tramwajów mi nie tęskno, ani do kamienic, ale człowieka z ideą w głowie to chciałoby się czasami zobaczyć.

— Cóż, kiedy pan nie chce z nikim tutaj się poznać — cierpliwie ciągnęła pani Tekla. — Możeby się



znalazł kto w sąsiedztwie, z kim byłoby panu przyjemnie mieć bliższy stosunek.

— Na koniach się nie znam, psy mnie nic nie obchodzą, objadać się nie mogę, na karty pieniędzy nie mam! — odparł prędko.

— Pan się niesłusznie uprzedził, pan nie chce wejść w nasze tu życie, a jednak...

— To trudno, proszę pani! Ja tego pańsko-wiejskiego życia nie uznaję, więc i wejść w nie nie mogę.

Pani Tekla nie dała za wygraną.

— Bo pan wyrobił sobie jakieś sztuczne pojęcie o naszym pańsko-wiejskim życiu... Niechże się pan zechce życiu temu zbliżka przypatrzeć. Takbym chciała namówić pana, żeby pan z nami pojechał do radcy na imieniny, będzie tam bardzo wiele osób.

— O, proszę pani, a ja tam poco? Pan radca możeby chciał mnie radzić — jabym mu zaś nie potrafił kadzić... Mogłaby z tego wynikać kakofonia! Jeszczeby wszyscy tego pana radcy radcowie i sam pan radca gotowi się zapytać: „Co po psie w kościele?”

Pani Tekla pomyślała sobie, że przez wzgląd na Żenia twarde musi gryźć orzechy. Mężowi nie zawsze o nieudanych swoich z nauczycielem rozmowach wspominała, dlatego, że pan Jan był zdania, że należy profesora nie zaczepiać.

— On ma swoje jakieś tam kłębki we łbie; nam to nie szkodzi, ty go nie przekonasz do tego, do czego on nie ma chęci, więc poco te dyskusje?

— Ale, bój się Boga! Szkoda człowieka! Czyż ty nie widzisz, że ma w głowie przewrócone... Niewiedomo, za kogo nas uważa...

— A ja ci ręczę, że jemu zdaje się, że to my właśnie mamy przewrócone głowy. Jakiż jest sposób przekonania go?

— Jakto jaki?... Ano, rozmowa, dowodzenie... wzajemne zbliżenie się...

— Dobrze gadanie! Rozmawiajże z nim, kiedy on nie chce ani twojej rozmowy, ani twego dowodzenia.

— Bo ja, widocznie, nie umiem... To właściwie ty byś powinien, mój drogi, spróbować, postarać się...

— Moja Teciu, jakim się o ciebie starał, to mi nie szło i sama musiałaś mi dopomódz, a teraz chcesz, żebym się o Bukłowicza starał, kiedy ja się w nim bynajmniej nie kocham.

— W żart obracasz to, co ja zupełnie poważnie traktuję! — niecierpliwie odrzekła pani Tekla.

— Ależ ja zupełnie poważnie powiadam, że nie mam ani ochoty, ani głowy do przerabiania Bukłowicza. Co mi to szkodzi, że on jest inny, niż ja, czy ty! Dopóki dobry dla Żenia, to i dla mnie dobry — i już!

„I już” oznaczało u pana Jana rzecz przesądzoną i skończoną. Zdarzało się wprawdzie nieraz, że pani Tekla, po takim zamknięciu dyskusji, wprowadzała sprawę na nowo i, nie szukając nowych argumentów, wprost powtarzając to, co już była powiedziała, uzyskiwała od męża taką decyzję, jakiej żądała, ale zdarzało się to wtedy, kiedy miała silne wewnętrzne przekonanie o słuszności swego żądania.

W tym jednak wypadku, kiedy o profesora chodziło, pani Tekla sama dobrze nie wiedziała, jak lepiej będzie: raz jej się zdawało, że koniecznie przerabiać pana Bukłowicza potrzeba; to znowu praca taka wydawała się jej niemożliwą — niemal rada była, że mąż ją zbił z tropu.

\*

Imieniny u pany radcy zapowiadały się świetnie. Corocznie zjeżdżało się na ten dzień pół powiatu, w tym roku przecie miało być jeszcze liczniejsze zebranie: jakieś kuzynki z Radomia, jakiś inżynier i jakiś prawdziwy literat z Warszawy.



Co do tego literata, zdania były podzielone: jedni niezmiernie się cieszyli, że go zobaczą i starali się przypomnieć sobie, czy też cokolwiek o nim słyszeli; drudzy dowodzili, że ten pan najzupełniej na wsi niepotrzebny. Do pierwszych należała pani Tekla, do drugich jej mąż.

— Ciekawego od niego nic się nie dowiem — mówił pan Jan. — Tyle on wie, co i ja; a z tej jego bytności na wsi urodzi się potem besztanina obywatelstwa całego w pień, w dodatku jakimś pseudonimem podpisana.

Pani Tekla broniła literata, dowodząc, że to nie żaden gazeciarski, tylko powieściopisarz, który wydał już kilka małych powieści — czy jedną wielką — tego nie pamiętała.

Na to mąż odpowiedział, że jeszcze gorszych należy oczekiwać następstw, albowiem człowiek, który z głowy wymyśla romanse, do większych skłonny jest na szlachtę wymysłów.

Pani Tekla jednak ufała w szlachetność literata i była w najlepszym humorze, aż do dnia i godziny, w której przyszło jej na myśl włożyć suknię, na występy przeznaczoną, dla przekonania się, czy przypadkiem nie należy czegośkolwiek poprawić.

Okazało się, że stanik zupełnie świeży — ale też i zupełnie zaciasny. Rozpuścić nie było sposobu — szwy za małe.

Stanik wisiał nienoszony przez kilka miesięcy, a przez ten czas...

— Utyłaś — i już — objaśnił pan Jan.

Od tego „i już” nie było apelacji; ale trzeba było znaleźć środek ratunku. Jedyne ratunek — jechać do miasta, do modniarki.

Jakoż pani pojechała, a z panią i pan, bo miał jakieś interesy, a z nimi i Żenio, którego chcieli fotografować.

Po ich wyjeździe, wieczorem, na schodach głównego ganku siedział pan Bukłowicz; na dolnym parapecie siedział ogrodnik; za ogrodnikiem zaś stał, łokciem oparty o mur, z brodą na dłoni, a palcami na nosie — Jurek. Wieczór był ciepły, ciehy, lecz ciemny. Chmury zasnuły niebo; wielkie, tuż przy domu rozrosłe kasztany potęgowały mrok.

Rozmowa na ganku szła ożywiona.

— Nasza pani okrutnie skąpa — dowodził ogrodnik. — Melony, kawony, brzoskwinie, morele — wszystko na sztuki obrachuje; niech potem jednej brakuje — już gwałt taki, że niech Bóg broni!

— Jak ze stołu dla skosztowania cokolwiek wziąć, zaraz pozna — wtrącił Jurek.

— Więc wy owoców wcale nie jadacie? — zapytał profesor.

— Smaku ich w gębie nigdy nie mam! — stwierdził ogrodnik.

— Nie może być!

— Żebym się tak z tego miejsca nie ruszył!

— Ani gruszek, ani jabłek?

— To, to czasem się je, ale trzeba kupić u sadownika.

— A dlaczegoż wam nie dają? Czy to tak we wszystkich dworach?

— We wszystkich nie, bo są takie państwo, które tam bardzo o to nie stoją.

— Więc pozwalają jeść?

— Pozwalają, nie pozwalają, ale niby nie zważają.

— Tak, ale jak sobie zważą i złapią, to też źle! — dodał Jurek.

— To dziwne... to dzikie! — głośno, chociaż niby do siebie, mówił profesor. — Wspólność pracy powinna prowadzić do wspólności zysków...

— Czy to, proszę pana, jest sprawiedliwość na



świecie? — zaczął ogrodnik. — Harować cały rok i nie mieć z tego nic!

— Wyście powinni żądać zmiany teraźniejszego położenia waszego — rzekł profesor. — Powinniście sami starać się o polepszenie bytu, inne stawiać warunki przy umowach. Ja wiem, że dawniej ludzie wierzyli temu, że Pan Bóg stworzył dwa gatunki ludzkich brzuchów: jeden do konfitur i do bułek, a drugi do razowego, suchego chleba, ale dziś już w ten pański wymysł nikt nie wierzy. Dziś wszyscy wiedzą o tem, że ludzie są sobie równi i prawa dla wszystkich powinny być równe.

— Ale zawsze Pan Bóg tak daje, że jeden rodzi się panem, a drugi biednym — wtrącił ogrodnik.

— Więc wam się zdaje, że sam Bóg nie chciał, żebyście jedli brzoskwinie i melony?

— Ano... bo jakże?

— To uważaj że sobie człowieku! Gdyby Bóg nie chciał dać ci jeść brzoskwini i melonów, toby ci dał inne zęby, inne podniebienie — wszystko inne, niż państwo mają. Wszak prawda?

Ogrodnik milczał; Jurek sapał z natężenia uwagi.

— Jakby państwo pozwolili — tobyście jedli?

— A jedlibyśmy.

— To znaczy, że nie Pan Bóg wam jeść nie pozwala — tylko państwo nie dają.

— Święta prawda! — zawołał ogrodnik.

— Czy to Pan Bóg wam nie daje — naprzykład — pieniędzy? — ciągnął, zapalając się, profesor. — Niechby wam państwo dali tysiąc rubli, to przecie każdy z was umiałby wziąć i w kieszeń wsadzić i kupić, coby chciał. Pan Bóg ani daje, ani broni brać, kiedy dają, ani odbiera. To ludzie sami tak robili i robią, że jedni mają więcej, niż im potrzeba, a

inni nie mają tyle, ileby im było potrzeba. Rozumiecie?

— Pewnie, że to tak wychodzi, jak pan powiada.

— To znaczy — objaśniał dalej profesor — że ludzie albo umieją sobie dobrze radzić, albo nie umieją, i ci, co umieją, mają więcej, ci zaś, co nie umieją, mają mniej, albo i nic nie mają.

— Oj, to, to! — westchnął ogrodnik.

— Każdy powinien myśleć o sobie i starać się swój los polepszyć, a to w ten sposób, żeby się nie dać mocniejszemu dusić, ani za łeb brać...

Tu Jurek mruknął złowrogo, bo mu Franciszek stanął przed oczyma.

...bo tylko wołu zaprzęgają do jarzma tak, że on nie wie, co robi, a człowiek przecie nie wół i taki człowiek, który pracuje, powinien mieć swój rozum, równie jak i ten pan, który od niego żąda pracy.

Wtem dał się słyszeć jakiś szelest w najbliższym klombie: jakgdyby ktoś wszedł w krzaki lub z nich wychodził. Jurek szepnął coś ogrodnikowi, ten zaś powiedział coś pocichu panu Bukłowiczowi; wszyscy trzej zeszli z ganku i udali się do oficyny, gdzie rozmawiali jeszcze dosyć długo przy drzwiach zamkniętych.

Kiedy wychodzili ze stancji profesora, Jurek rzekł w sionce:

— Panie Ferdynat, ten-ci dopiero ma we łbie, jak w aptece wszystkiego, co?

— Gadać, gada dobrze, ani słowa, ale kiedy on tyle sposobów wie, to dlaczego sam pieniędzy niema i służy? — zauważył ogrodnik.

— Kto jego wie: może on i ma pieniądze...

— Ale! To poco byłby w obowiązku?

— A jak kucharz hrabiego z Górek? Ile to on zebrał grosza, a wciąż służy...

Ogrodnik nie podtrzymał już rozmowy i wyszedł.



Nie poszedł jednak do izby, którą wspólnie z pi-sarzem prowentowym zajmował, ale okrążył dwór i pod wozownią, trzymając się klombów, doszedł do niskich sztachetów, oddzielających dziedziniec główny od zabudowań kuchennych; przeskoczył przez płotek i powoli zbliżył się do czeladniej kuchni. Okna były otwarte, w izbach ciemno: widocznie spalili tam wszyscy oddawna.

Ogrodnik posunął się kilka kroków dalej, do gane-czka na słupach. Drzwi wchodowe były tylko przymknięte. Zajrzał do sieni — zupełna tam pano-wała ciemność i cisza.

— Hanka! — szepnął — Hanuś...

Tuż obok niego, za drzwiami, ktoś stał. Ogrod-nik odczuł to w chwili, kiedy chciał drzwi popychać, a nie dały się uchylić.

— Hanuś, albo wyjdź, albo się usuń...

Zaczekał chwilę, ale nie wyszedł nikt, a drzwi stawały opór.

— Nie zbyt kuj, dziewucho, bo jeszcze kto usły-szy... To ja... Daj fartuch, albo wysuń garść...

Namacał wysuniętą z za drzwi rękę, wyciągnął z kieszeni kilka brzoskwiń, które ręką zabrała. Ma-newr ten powtórzył się kilka razy.

— Puść-że mnie... — szepnął znowu.

Zdawało się, że drzwi się uchylają, lecz jedno-cześnie od strony oficyny dało się słyszeć przeciągłe gwizdnięcie i głos Jurka zawołał:

— Stróżu!

— Cholera ci tam po stróżu! — zaklął Ferdy-nand. — Słuchaj, Hanuś, ja pójdę pod bzy, koło wiel-kiego jesiona i tam będę.

Oddalił się śpiesznie i zniknął.

Wtedy z kuchennej sieni wymknął się pan Bu-klowicz, przesunął się śpiesznie koło grabowego ży-

wopłotu i, stanąwszy niedaleko oficyny, naprzeciwko dworu, odezwał się głośno:

— Jurek, a gdzie ty?

— Ja tu, proszę pana, przy naszym ganku.

— Dlaczego ty stróża wołasz?

— A bom się okrutnie zestrachał: bez naszą sionkę ktościć przeszedł pocichu, ja myślałem, że złodziej.

— Głupis, to ja wyszedłem, bo mnie głowa boli. A gdzie stróż?

— Oho! Państwa niema, to i stróża niema; pe-wno poszedł do stajni spać i psy z nim.

Pan Bukłowicz wrócił do swego pokoju; Jurek położył się pod schodami, a kiedy usłyszał, że profes-or zapalił świecę, zsunął się z tapczana, przysiadł podedrzwiami i oko do dziurki od klucza przyłożył.

Profesor wyjmował z kieszeni i kładł na stoliku owoce. Jurek naliczył dziewięć brzoskwiń i sześć mo-reli i czekał, co dalej będzie.

Nie długo czekał i nic ciekawego nie zobaczył: profesor zjadł prędko to, co przyniósł, pestki w pa-pierek zawinął i zostawił na stole, poczem spać się po-łożył.

Spróbował i Jurek na swój tapczan powrócić, ale sen go się nie imał. On, który zwykle zasypiał, zanim jeszcze głową dotknął siennika — dziś nie mógł skleić oczu. Co prawda, nie mógł zrozumieć tego wszyst-kiego, co słyszał i co widział. Zdawało mu się, że profes-or poszedł w kierunku czeladniej kuchni, tymcza-sem, oczywiście, chodził on do inspektów. Wrócił z owocami w kieszeni, a więc mu je ogrodnik dał, bo klucz od inspektów był u Ferdynanda. Ale ogrodnik na ganku rozmawiał z profesorem w taki sposób, że to zupełnie na porozumiewanie się nie zakrawało. Jurek nie był do rozmyślania przyzwyczajony. Sko-ro tylko pojął, że nie umie sobie tego, co zaszło, wy-



tlómaczyć — machinalnie prawie podniósł się z posłania i wyszedł na podwórze.

Na dworze było trochę mniej ciemno, niż z wieczora i bardzo cicho.

Postanowił odszukać stróża i zabawić się pogawędką, skierował się więc ku stajni.

Kiedy koło bzów, niedaleko starego jesiona przechodził, napotkał stróża, który zatrzymał go, zachrypłym głosem pytając:

Kto tu łązi?

Jurek dał się poznać.

— Czy to ty jucho, w tych krzakach siedzisz? — badał Józef.

Chłopak napróżno dowodził, że idzie od oficyny.

— Ty mnie nie zamalujesz — powiedział ostaciecznie stróż. — Jakem ku stajni szedł, widziałem jedną, co się koło kuchni ślaniała, teraz drugi z za krzaków wyłazi...

— Żebyś tak zdrów był... — zaczął Jurek.

— A idź ty do choroby! — odburknął stróż. — Mnie tam wszycko jedno. Już ja was znam: póki święte lato, póty was poomacku nosi...

— Nikośom nie widział, was pierwszego...

— Ma się wiedzieć, żeś nie widział, bo w krzaczku ciemno, aleś ty, jucho, nie na patrzenie tam łąził!

Im mniej rozumiał Jurek rzecz całą, tem większa złość go opanowywała.

— Co wy się będziecie mnie czepiać! — zawołał. — Samiście nic nie widzieli, boście we stajni spali, jak ten suseł!

— Przysięgniesz, kundlu, żeś spał?

— A właśnie, że przysięgnę!

— To przysięgaj!

— Właśnie, że będę, bom i świstał i wołał: „Stróżu!” — i pies się nawet nie odezwał.

— Łzesz!

— To się spytajcie profesora, bo był na dworze ze mną i słyszał.

— No, no, niech tam! — spokojnie rzekł stróż. — Kuźdemu się co zdarzy.

Odeszli obaj w stronę dworu. Wtedy dopiero ogrodnik mógł bezpiecznie wyjść z krzaków i wrócić do izby.

Był przekonany, że Jurek stał się przyczyną bezskutecznie przewałowanej nocy; oczywiście bowiem Hanka dalego tylko do jesiona nie przyszła, że chłopak wciąż po dziedzińcu chodził. W każdym razie dziewczyna miała już dowód, że inspektów dla niej nie pożałował i to go cieszyło.

Pan Bukłowicz, przeciwnie, nie miał czem się cieszyć. Zjadł wprawdzie brzoskwinie i morele, ale owoce te były jeszcze niedojrzałe i w ustach zostawiły mu smak cierpki. Nie mogła być dla niego osłoda myśl, że Hanka jest bardzo niewybredna, skoro tak skromne odbiera prezenty; ta niewybredność bowiem wiązała się ściśle z osobą Ferdynanda.

Ogrodnik widocznie bliższym był celu, niż on — profesor. Przed nim Hanka, której kaftana dotknął już na ganku kuchennym, uciekła do izby; czy byłaby równie uciekła przed Ferdynandem?...

Doprawdy, przykrą noc miał pan Bukłowicz.

To też nazajutrz, kiedy wyszedł rano do ogrodu i zawinięte w papier pestki wyrzucał, miał minę moją, że nawet zanadto ponurą w stosunku do okoliczności.

Napróżno ogrodnik i profesor liczyli każdy z osobna na śpieszne rozmówienie się z Hanką.

Pan Bukłowicz, niewiedomo dlaczego, wyciągał kilka razy portmonetkę z kieszeni — i obliczał wartość, łatwą do obliczenia.

Ferdynand bardzo poważnie zastanawiał się nad tem, co lepiej kupić dla Hanki na jarmarku: lusterko za szesnaście groszy, czy pierścionek z oczkiem za



dwadzieścia. Ani jeden, ani drugi nie mogli w ciągu ostatnich kilku dni rozmówić się z Hanką. Wypadła pilna robota w polu; najemników ze wsi było mało, ekonom zabierał codzień dziewczki od samego rana. Hance wyszło to na dobre.

W sobotę po południu wkręcił się Wojtkowi batog w koło; nie mógł zleźć z wozu, bo wysoko był wyładowany; zawołał na dziewczynę, która zagrabiła za furami.

— Hanka! Chodź-ino, odkręć batog.

— Galanty fornal, co bata nie utrzyma! — wyśmiewała się, idąc do fury.

— Nie wydziwiał, a chodź żywo.

— Musi będziesz płacić, kiedy ci tak pilno.

— Ojej! Jak trza płacić, to zapłacę.

— A masz czem?

— Zaciągnę cię batem, to ci się przyda.

— Com ci złego zrobiła? — zapytała dziewczyna poważnie, patrząc mu oko w oko.

Wojtek przechylił się, ile mógł, na furze i, nie spuszczaając wzroku z Hanka, mówił prawie ze złością:

— Co? Powiedzieć ci — to ci powiem i cały dwór gada, że zachodzisz z tym profesorem...

— Nieprawda! — odparła spokojnie.

— W całym dworze aż się trzęsie, że z ogrodnikiem zachodzisz...

— Nieprawda! — powtórzyła znowu, ale po opalonej twarzy przebiegł rumieniec.

— Aha! i to nieprawda? — podchwycił Wojtek i oczy mu się zatliły złośliwie. — Teraz jest insza nowina: rozpowiadają, żeś się czepiła Jurka...

— Ścierwo, nie naród podły! — wykrzyknęła dziewczyna i pobladła.

— Co? I to nieprawda?

— Nieprawda!

— A nie widział was stróż w bzach, po nocy?

— Łże on, jak pies!

— A nie gadają o tobie wszystkie baby po ósmakach?

— Za jednym psem i insze wyją!...

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Dziewczyna odplątała bat z pomiędzy szprych koła, podniosła biczysko w górę i, podając je Wojtkowi, rzekła cicho:

— Masz, jedź z Bogiem! — i, nie patrząc na niego, miała już odejść.

— Słuchaj, Hanka! — wstrzymał ją Wojtek. — Wspominałaś Boskie Imię... Prawdę ja od ciebie teraz słyszał, czy nie?

— Prawdę! — odrzekła śmiało.

— I nie chcesz ty mojej zguby?

— Nie! — odrzekła ciszej.

— A jak jabym cię wziął? — tu głos mu zadźżał tak, że słowa bardzo wolno przeciskały się przez wargi — jak jabym ciebie wziął za swoją... tobyś ty mnie dała uczciwość?

Dziewczyna jeszcze silniej pobladła. Po chwili rzekła jakby ze smutkiem:

— A dałbyś ty mnie wiarę?

Wojtek spuścił głowę, tak, że tylko kapeluszyk wiadać było na wozie. Wreszcie wyprostował się ciężkim ruchem i, patrząc w twarz Hanka, wymówił:

— Ja się od ciebie zguby boję... boś ty w oczach ładna...

A dziewczyna podniosła na niego te nieszczęsne swoje oczy i ze słodkim, a prawie żartobliwym uśmiechem odrzekła:

— To się nie bój...

Jeszcze słowa te drgały w powietrzu, kiedy Wojtek był już przy niej i ścisnął ją w szerokich swych ramionach, tak, że Hanka, choć mocna, gorącość uczuła wielką i w oczach jej się ćmiło.

— Oj, puść mnie!... — wyszeptwała.



Puścił ją, obrzucił jeszcze wzrokiem i szybko wy dostał się na furę, a siedząc już wysoko i zbierając lejce w garść, powiedział wesoło:

— No, Hanuś, słyszała nas ziemia święta, słyszało to słonko, co się tera kładzie... Pamiętaj, bądź dobra... i wierna!

\*

Fura potoczyła się po ściernisku ku drodze, a na drodze zniknęła w tumanie kurzu.

Hanka wróciła do grabienia.

— Szelma chłopak! — myślała — okrutnie mocny... Będzie już z pół roku, jak ja go strasznie lubię... A on tyle czasu ani się odezwał, aż dopiero dziś... Jak mnie objął, tom ręką ruszyć nie mogła.

Nie przyszło jej jednak na myśl poprawić włosów, obciągnąć bluzkę i fałdy sukni ułożyć. Na usprawiedliwienie jej powiedzieć należy, że spódnice miała na sobie gładką, nie fałdowaną, angielskim krojem; kaftanik, zastępujący bluzkę, leżał gdzieś na miedzy, bo przy robocie w lecie koszula z szerokimi rękawami w sam raz wystarcza; o włosy zaś zwyczajnie kuchni czeladnej każą dbać tylko raz na dzień, zrana, wieczorem zaś tylko w wilgę niedzieli lub święta; zresztą o lusterku dla niej dopiero myślał ogrodnik.

Wojtek ścisnął Hanke w szczerem polu. Widział to zdaleka Kasia, widział Paweł, który też na drugiej furze jechał, ale nie pomyśleli nic złego: „Złe w biały dzień nie chodzi”.

Tak samo sądziła szafarka, osoba niezmiernie towarzyska, rozpoczynając gawędę z panem Bukłowiczem, którego naumyślnie spotkała w ogrodzie.

Opowiedziała mu o tem, że kiedyś w lepszym była stanie: rodzice jej mieli majątek, t. j. dzierżawę, t. j. niby małe folwarczek pod miastem, t. j. niby pod miasteczkiem; potem zamąż wyszła, mąż umarł,

bardzo porządny człowiek, był ekonomem, ale takim, co to samo znaczył, co i rządcą; umarł — nie zostawił nic — poszło się zatem na służbę. Niech Bóg bronil! Same przykrości!

Państwoby chcieli, żeby wszystko szło, jak w zegarku, a tanio, żeby kółem słoniny cały folwark omaścić; tymczasem służba grymasi... Chłoptwo to wszystko... bez ambicji, a harde, a krnąbrne!... Taka Julka i to posłuchu nie rozumie... Przykre i ciężkie życie!

W zeszłym tygodniu na obiad były paszteciki do zupy, a na leguminę — lody; ona lodów nie dostała, a ten jedyny pasztecik, który jej przyniesiono, był jakiś oberwany... A przecież rodzice jej mieli majątek, t. j. folwarczek, niby dzierżawę, a mąż jej, choć był ekonomem, tyle znaczył, co i rządcą.

Pan Bukłowicz zauważył, że słuszną byłoby rzeczą, żeby szafarka razem siadała do obiadu, w Ameryce bowiem parobcy nawet przy jednym z fermerem zasiadają stole.

Szafarka uznała, że tak daleko tutaj zająć nie można, „bo co chłoptwo — to chłoptwo”; że jednak szafarka stanowczo jadać z państwem powinna.

Profesor wystąpił w obronie „chłoptwa”; szafarce się to zupełnie nie podobało, gdy jednak oponent jeszcze coś o amerykańskich przykładach wspomniał, zauważyła:

— E, co tam, proszę pana, Ameryka! Ja wiem, że to o niej po gazetach piszą, ale powiadam: albo tam kto był, albo i nie był, ot, piszą, bo piszą. Już ja dziękuję za to, żeby z czeladzią jadła!

— A z ekonomem pani by mogła?

— Dlaczegoż — mogłabym.

— A z ogrodnikiem?

— To już proszę pana, jak z jakim. Z prostym — to nie!



— A z furmanem?

— O, jak szczęścia pragnę! Z panem to dopiero śmiech! Jak to pan, niby taki uczony, a lubi żartować! I szczerze się uśmieła.

Pan Bukłowicz przeciwnie, był trochę podrażniony. Szafarka nie miała czasu tego zauważyć, opowiadała bowiem w dalszym ciągu o wszystkim, co jej do myśli, do oczu, czy do uszu wpadało.

— Pan się boi grzmotów?

— Nie, nie boję się.

— Grzmotów, to jeszcze nic, ale piorunów?

— Nie.

— Ale ja mówię w nocy, proszę pana, w nocy!

— To jeden djabeł: w dzień, czy w nocy, czegożbym się miał bać?

— Matko Najświętsza, co też pan mówi! Jeden djabeł. Przecież to Boska moc, a nie djabełska!

— Już ja tam w to nie wchodzę: czyja moc. Pyta mnie się pani, czy się boję, więc mówię, że nie, bo niema czego.

Szafarka spojrzała bokiem na mówiącego, ale raz nakręcona, opowiadała dalej:

...i akuratnie, proszę pana, tak się zdarzyło, że myśmy z panią ewangeliję, same, i w ogrodzie, i na kapustnikach zakopały, a pan sam podobno zakopał od chłopskiej granicy i od Łapiguza i spuścił się na ekonoma, że ten zakopie na rogu do Mętowa. A ten tymczasem nosił i nosił w kieszeni i zapomniał. Nie wyszło sześć tygodni, jak raz w samo południe, przywalała chmura szara, jak ług, a w ostatnich strzepach, jak ścierki, a spodem i po bokach niby w strasznych mydlinach, w pianie, a kotłowało się w niej, a szumiało — strach. Ja tu myślę, że zginę... I proszę pana, tutaj, nad nami nic, na niwie pod Łapiguzem — nic, pod chłopską granicą — nic, a pod Mętowem

zbił grad wszystko, co do ostatniego kłoska, jak wy-maglował!

— To ja o tej sztuce z ewangeljami pierwszy raz słyszę — rzekł profesor.

— Przepraszam pana, ja nie o żadnych sztukach mówię, tylko o zakopywaniu świętych ewangelij — żywo podchwyciła urażona szafarka.

— Ja rozumiem — spokojnie ciągnął pan Bukłowicz — zawsze to jednakże ciekawa sztuka.

— Nie mogę poznać: czy pan sobie żartuje i mnie nie wierzy, czy inaczej pan myśli. Taka jest moc Boska od wieków, to wszyscy przecie wiedzą.

— A dlaczegóż się pani burzy i piorunów boi?

— Boję się, proszę pana! Nie wiem, jak tam się ludzkie mogą nie bać. Nieboszcza matka moja się bała i ja to samo.

— To ja pani dam radę: niech pani sobie zasztyje w odzienie, z czterech stron, po jednej ewangelji — i będzie pani mogła stać na dworze bezpiecznie, nawet i bez parasola: chmury panią ominą.

Szafarka wpatrzyła się w mówiącego swemi młem świecącemi oczyma, a po chwili odpowiedziała bez najlżejszego zakłopotania:

— Pan sobie ze mnie kpi, jak z prostej baby; ha, widać, żem głupia, niech i tak będzie!

— Przepraszam — zaczął profesor — pani nie rozumie...

— O, rozumiem! — przerwała mu. — Powiadam, niech pan kpi zdrów, ale się pan wysmiewa ze świętych rzeczy, a to się już nie godzi.

— Ja, proszę pani, nie mogę wierzyć w cuda.

— A ja, proszę pana, wierzę i będę wierzyła, bo o, i teraz prawdziwy cud, że nad panem nie zagrzmiało na niebie... Ale, przepraszam, muszę już iść do roboty...

Skinęła głową, poprawiła z wielką godnością



wielki szary szal, który nieodstępnie zdobił jej osobę i poszła.

Czas zresztą był wielki skończyć długą rozmowę, bo właśnie na drodze do wsi rozlegało się trzaskanie z bata, co oznaczało powrót państwa Gdulskich do domu; w pralni zaś dziewczęta tak się kłóciły o zwykłą duszę do prasowania, jak nigdy się jeszcze o nieśmiertelną duszę nie kłócono.

Żenio przybiegł do oficyny i z rozradowaną twarzą wręczył panu Bukłowiczowi prezent od siebie z miasta: paczkę zawierającą setkę papierosów.

— Mój kochany, ja podarunku tego przyjąć nie mogę — rzekł profesor.

— Dlaczego, proszę pana, dlaczego? — pytał skonfundowany chłopak.

— Od obcych ludzi nie przyjmuje się podarunków.

— Ależ to ja kupiłem dla pana, to ja sam...

— Za jakie pieniądze?

— Za swoje własne.

— A skąd je miałeś?

— Od tatki dostałem trochę, trochę od mamy.

— Więc to były pieniądze twoich rodziców, a nie twoje własne. Twemi własnymi byłyby wtedy, gdybyś je własną pracą zarobił.

Żenio stał, jak wryty, w oczach łzy mu się kręciły.

— Rodzice twoi płacą mi za to, że ciebie uczę, a ja nic nad to, co zostało między nami umówione, przyjąć nie mogę.

Chłopiec jeszcze stał przez parę minut bezradny, potem cichutko wycofał się z pokoju, w sieni wybuchnął wielkim płaczem i poszedł do matki.

Przed kolacją, w pokoju profesora zjawił się pan Gdulski.

Pan Bukłowicz wstał od swego stolika na powi-

tanie gościa, ale nie podał mu krzeselka, stali więc obaj.

— Przyszedłem prosić pana o wyświadczenie mi grzeczności... czy nawet łaski... jak to powiedzieć?...

— Co takiego? — przerwał gorączkowo profesor.

— Żenio z własnej ochoty kupił dla pana papierosów. Daję słowo, że o tem dopiero teraz się dowiedział, bo nie mnie, ale matkę prosił, żeby z nim poszła po ten sprawunek. Pan odmówił przyjęcia tego dowodu pamięci i pewnego rodzaju serdeczniejszego przywiązania chłopca...

— Odmówiłem mu, bo nie mogę odstąpić od zasady.

— Rozumiem, że pan od zasady odstąpić nie może i nie mam zamiaru prosić o to. Ale, uważa pan, Żeniowi nie może się pomieścić w głowie przyczyna pańskiej odmowy; moja żona nie umie jej wytłómaczyć, a ja również nie jestem w stanie odpowiedzieć na jego płaczliwe powtarzanie: „Dlaczego?” — bo sam dobrze nie rozumiem pańskiej zasady.

— Mnie to zupełnie nie dziwi — z pewną ironją zauważył profesor — różnimy się w zapętrwaniach.

— Ale ja nie będę się z panem spierał, — ciągnął dobrodusznie pan Jan — chodzi teraz tylko o to, ażeby Żenio nie stracił serca do pana, żeby mógł dalej chętnie z nauk, udzielanych mu przez pana, korzystać; chodzi mi o to, żeby pan nie odrzucił jego dziecinnego upominku. Przyszedłem więc prosić pana o polubowne załatwienie sprawy: papierosy kosztują rubla, niech mnie pan tego rubla zwróci, a paczkę od Żenia weźmie — niech się chłopak nie martwi.

— Bardzo oryginalna propozycja — powiedział półgłosem pan Bukłowicz — ale sądzę, że mogę na to się zgodzić, skoro pan mówi, że mu o Genia chodzi.



— Bardzo panu dziękuję — rzekł gospodarz.

— Zastrzegam jednak — dodał za wychodzącym profesor — że ja nie rozumiem dokładnie, do czego ta szopka ma służyć... Rubla oddaję... (tu podał panu Janowi rubla). Ale to wszystko jest szopka...

Zmartwienie Żenia szczęśliwie skończyło się przy wczorzy. Powtórnie ofiarował swój prezent, profesor przyjął, rodzice zaś wytłómaczyli chłopcu, że profesor chciał mu dać naukę, żeby oszczędzał pieniądze, nie narażał rodziców na wydatki i t. p.

Państwo Gdulscy długą mieli potem ze sobą naradę. Franciszek bowiem doniósł panu Janowi pod sekretem, że p. Bukłowicz buntował przez cały wieczór ogrodnika i Jurka na ganku, co on na własne uszy słyszał, w klombie ukryty; że skutkiem tego buntowania ogrodnik nie nocował w izbie, czego pisarz świadkiem, Jurek zaś zakradł się do inspektów i oberwał brzoskwinie, na co jest dowód, bo w ogródku Julka znalazła garść pestek w papierku i t. d.

Rezultat narady był bardzo dla obwinionych pomyślny. Gdyby Jurek spustoszył inspektą, z pewnością nie zawijałby pestek w papier; skoro więc ta wiadomość jest w zasadzie fałszywą, nie należy przeceniać znaczenia nieobecności ogrodnika w nocy w izbie.

Co się zaś tyczy buntowniczych rozmów pana Bukłowicza, Franciszek zeznał, jakoby profesor namawiał ogrodnika, żeby ten żądał od państwa konfitur i bułek; żeby się starali obaj z Jurkiem wziąć tysiąc rubli i żeby nie byli tacy głupi, jak woły.

Otóż zestawienie wołów i wielkiej sumy pieniędzy z konfiturami wydało się pani Tekli wprost śmiesznem.

Pan Jan z przyjemnością przystał na to, był bowiem bardzo zmęczony pobytem w mieście, układem o papierosy i opowiadaniem Franciszka.

U ekonomstwa Hustych miały lada dzień odbyć się chrzciny pierworodnego dziecka. Odwlekała się ta ceremonia od kilku miesięcy, dlatego, że matką chrzestną dziecka obiecała być krewną ekonomowej, „najprawdziwsza w świecie obywatelka ziemska”, daleko — aż gdzieś nad granicą zamieszkała.

Co kilkanaście dni przychodziły listy od tej pani z zawiadomieniem, że przyjazd swój opóźnić musi. Nareszcie napisała, że wyjeżdża i oznaczyła dzień, na który przybyć rachowała.

Pan Husty wykalkulował sobie, że dziedzic nie odmówi być ojcem chrzestnym, skoro taką mu kumę postawi, czekał jednak przybycia tej kumy, wiedział bowiem, że pana Gdulskiego najłatwiej było w ostatniej chwili na coś namówić lub o coś uprosić.

Tymczasem nadeszła depesza, że „najprawdziwsza obywatelka ziemska” stanowczo nie przyjedzie.

Pani Huścina lamentowała; mąż jej kłął.

— Im się tam jakieś nieszczęście musiało przytrafić — zakonkludowała ekonomowa.

— Całe nieszczęście, że okpisz-baba jest i kwita.

— Daj spokój, Florek: wiesz, że to moja blizka krewna.

— Tem gorzej, bo ona o tobie pewno wiedzieć nie chce.

— Toby nie pisała.

— A cóż jej szkodziło komedję grać? Podła baba!

— Nie trzeba, Florek, mieć złych myśli.

— Tak, mam akurat być wesół, że nas na dudków ta twoja wielka pani wystrychnęła.

— Ja ci powiadam, że tam się coś złego stało.

— A ja ci powiadam to, co mi kiedyś Bukłowicz powiedział: obiecuje jaśnie pani przyjechać do biednych ludzi, bo jej tak polityka każe, a nie przyjedzie wcale, bo jej jaśnie państwo nie pozwoli na to. Do-



brze profesor mówi: ta nasza szlachta — to sama zgnilizna!

— Zapomniałeś, żeś się ze szlachcianką ożenił.

— Oho, już się twoje szlachectwo dawno wytarło.

— O, przepraszam, wcale się nie wytarło!

— No, to trzeba, żebyś o niem zapomniała. Bukłowicz powiada, że szlachta nawet się na podściółkę nie zdała, bo kole; trzebaby to wymieść, jak śmiecie.

— Powiedz-że temu swemu profesorowi — zawołała energicznie ekonomowa — powiedz mu, że on się na miotłę do tego wymiatania nie zdał, bo z plewy mioteł nie robia.

Wypowiedziawszy to jednym tchem — wybiegła z izby.

Parobcy i robotnicy nie mogli tego dnia zadowolić ekonomą; dał się ten dzień także we znaki wierchowej klaczy: obcasy i nahajka pana Hustego wybiły na niej ustawiczną pobudkę.

Wśród wielkiej ekscytacji zrodziła się w głowie ekonomy myśl szczęśliwa: poprosić na rodziców chrzestnych siostrę księdza proboszcza i pana Bukłowicza. Wprawdzie żona nieprzychylnie się była odezwała o profesorze, ale w sprzeczce — to zwykła rzecz...

— Ja trochę powiedziałem, ona trochę... ale zawsze taki profesor na ojca chrzestnego bardzo pokazny...

Wieczorem, po wieczerzy, do której zasiedli bez widocznej do siebie urazy, pan Husty projekt swój zakomunikował żonie. Usłyszał stanowczą odpowiedź:

— Mego dziecka on nie dotknie. Jeżeli tu kiedykolwiek go sprowadzisz, ja z dzieckiem się wyniosę.

— Emilka, co ty pleciesz!

— Ten człowiek Boga w sercu nie nosi; ja nie chcę, żeby on nas zgubił.

— A tobie co strzeliło do głowy?

— Nic, jaka byłam, taka jestem. To tobie on głowę swojem gadaniem przewrócił. Co on tu na ganuku u nas powiedział, pamiętasz? A czyś ty go w kościele widział choć aby raz jeden? Zapytaj-no się szafarki, co on przy niej wygadywał; opowiadała właśnie Franciszkowej, a Franciszkowa mnie.

Ale wzmianka o szafarce, z którą był on na wojennej stopie, dopełniła miary wzburzenia pana Hustego. W izbie powstała kłótnia, istne piekło, w którym górował silny głos gardłowy ekonomy nad piskliwym dyszkantem Emilki i nad płaczem dziecka, o którym oddawna zapomniano.

Dziewczyna-służąca wybiegła natychmiast do najbliższej izby w ósmioraku i dała znać, że się ekumon z żoną besztają. Wiadomość ta doszła do drugiego ósmioraka, jako że się u ekumona już biją.

Pod domkiem Hustych zebrały się prawie wszystkie parobczychy w przyzwoitej odległości, tak, żeby ich nie można było z okien dojrzeć, ażeby mogły co najwięcej słyszeć.

Jakoż słyszały wielki hałas i wystarczyło im to do najróżnorodniejszych kombinacji.

Pokłóciły się zaraz między sobą i kłóciły się jeszcze nazajutrz; jedne bowiem z kobiet twierdziły, że ekonom bił żonę, drugie, że ekonomowa biła męża. Ostatecznie, Franciszek złożył raport panu Gdulskiemu, a szafarka pani Tekli, że się ekonomstwo do krwi pokaleczyli.

Szczęściem, rozeszła się zaraz potem inna, lecz już weselsza nowina: o blizkiem weselu Wojtki z Hanką.

Wiadomość tę ogrodnik przyjął bez wzruszenia. Uważał się za bardzo sprytnego, że na prezenta



ani grosza nie wydał; postanowił nie rozmawiać więcej z Hanką ze względu na miłość własną i na nieprzyjemności skutkiem chłopskich zwyczajów Wojtka wynikać mogące; wreszcie pocieszył się myślą, że Julka bardzo rada do niego się śmieje.

Jurek, przeciwnie, nie mógł ukryć swojej zazdrości.

— Panie Ferdynat — mówił, przyszedłszy któregoś dnia rano po rzodkiewkę do inspektów — co to się stało, że tak — odrazu — Hanka za Wojtkiem poleciała?

— A cóżes ty, głupi, chciał, żeby do niej jakie panowie przyjeżdżali?

— Że przychodzili, tom sam widział.

Tu opowiedział to, co widział i słyszał w ogrodzie, nie szczędząc, oczywiście, własnych dodatków.

— To on taki majster, ten profesor!... — zauważył ogrodnik i okiem mrugnął znacząco.

— A pan Ferdynat wie, że on okrutnie lubi inspekta?

I Jurek podejrzliwie mrugnął na ogrodnika.

— Bo co?

— Bo ma zkądcis brzoskwinie...

— Szczekasz!

— I morele ma, samem widział... Może mu kto daje.

— Gadaj zaraz, co wiesz.

Jurek pamiętał, którego wieczora podpatrywał profesora; ogrodnik słuchał i widocznie złość go opanowywała.

— Tyś pewno myślał, że on odemnie dostał?

— Ano już-ci myślałem.

— A ty wiesz, że ja ciebie śledził, bo mi szafarka kazała? Czekał, żebyś wiedział, jak to było, pamiętaj ino, żebyś pary z gęby nie puścił! On dostał to, co zjadł, od Hanki.

Jurkowi omal oczy nie wyskoczyły; zaczął przestępować z nogi na nogę niecierpliwie.

— Hanka narwała wszystkiego w inspektach i jemu dała, bo oni się ze sobą zeszli; kiedy się zma-  
wiali, to się i zeszli. Psia...

— A to ci dopiero interes! — wykrzyknął Jurek.

— Jak on to pięknie gadał, że każdy powinien mieć swój rozum! — zjadliwie dodał Ferdynand.

— I o sobie myśleć musi — dorzucił Jurek.

— Ano, idź ty już — rzekł ogrodnik — i pamiętaj — cicho!

— No, no!

Ferdynand był przekonany, że teraz dopiero rozumie całą sprawę doskonale: dziewczyna nie przyszła wieczorem na rozmowę pod jesion dlatego, że czekała na profesora, któremu otrzymane w sieni owoce — oddała.

Teraz wychodzi za Wojtka, bo się oboje z profesorem boją...

— O, toś ty cały majster! — rzekł do siebie półgłosem. — Od ciebie się trza uczyć, jak sobie radzić na świecie.

Tymczasem postanowił na najbliższym jarmarku kupić coś droższego, choćby i za pół rubla, Julce: niech wie Hanka, co ją ominęło.

Ale i pan Bukłowicz nie próżnował. Przekonany, że w sprawie owego wieczoru potrafił zachować „incognito”, podrażniony wiadomością o zamążpójściu Hanki, pochwycił pierwszą sposobność przypodobania się Julce.

Pretekst był, bo miał bieliznę w praniu. Poprosił dziewczynę, żeby mu zaraz przyniosła kołnierzyk. Julka przyniosła, uśmiechnęła się, otrzymała nawzajem uśmiech, kilka słów i dwa złote.

Tego samego dnia pan Bukłowicz był wyjątkowo ożywiony przy stole. Mówiono o tem, jak trudno



przyzwyczaić służbę, ludzi prostych wogóle, do czystości. Profesor oświadczył, że obecny stan rzeczy we dworach wiejskich jest dla niego wstrętny. Parobcy mają złe, ciasne mieszkania, a służba, na dworskim stole zostająca, gorzej jest traktowana, niż inwentarz. Chłopaki śpią przez cały rok po stajniach, pod żłobami; dziewczęta nie mają w kuchni łózek, tylko ławki lub tapczany. Nikt się nimi nie opiekuje; biedne dziewczyny rzucone są na pastwę losu... Nędza materialna i moralna... Reformy są konieczne i to reformy natychmiastowe.

Pani Tekla przyznała, że jest niedobrze. Pan Gdulski nie powiedział, że jest niedobrze, ale tak jakby przyznał, bo kilka razy powtórzył:

— Aj, panie, kiedy pieniędzy na to niema!

— Ale ostatecznie przyznają państwo, że dla polepszenia doli służby folwarcznej nic się nie robi?

— No, tak, zamało, zamało — szepnęła pani Tekla.

— Co można, panie, robimy, ale pieniędzy niema! — poskarżył się po raz dziesiąty pan Gdulski.

Tego wieczora rozeszli się wszyscy bez rozdrażnienia.

Tymczasem we dworze z każdym dniem wzburzenie rośnie. Franciszek, Michał i szafarka postanowili utopić w łyżce wody p. Bukłowicza, ogrodnika i Jurka; ekonom na każdym kroku robił na złość szafarce, która, jak uważał, zbuntowała mu żonę, na złość zaś żonie odłożył chrcziny na czas nieograniczony, szafarka wspólnie z Franciszkiem wymyślali na ekonomia niestworzone rzeczy.

Ogrodnik i Jurek przesądzali się w uprzejmości dla profesora, ale nieustannie naradzali się z sobą po kątach i dokuczali, czem i jak mogli, Franciszkowi i szafarce.

Dla Julki tylko nastały złote chwile. Ogrodnik omal, że nie obiecywał z nią się żenić, profesor dawał do zrozumienia, że byłby w stanie ułatwić jej kupienie wielu pięknych rzeczy; nawet Jurek przy sposobności wyręczał ją w robocie.

W oficynie, w której mieszkał pan Bukłowicz, był jeden pusty pokój, gościnnym zwany. Wchodziło się do niego z oddzielnej sionki, z przyczółka domu; drugie drzwi obok prowadziły do większej stancji, na skład różnych mniej potrzebnych rzeczy obróconej.

W gościnnej tej izdebce bardzo rzadko kto stawał, chyba w czasie większego zjazdu gości, w samym dworze bowiem były dwa wolne pokoiki. Klucz od niej wisiał stale w garderobie za szafą, gdzie syłała Julka.

Pewnego wieczora Jurek udzielił ogrodnikowi bardzo ciekawych wiadomości.

Oto nazajutrz miał pan Bukłowicz świtem jechać do miasteczka dla załatwienia osobistych sprawunków i ostrzyżenia włosów; pan Gdulski prosił go o oddanie na pocztę jakiejś większej sumy pieniężnej; profesor wziął kopertę z pieniędzmi, przyniósł do swego pokoju i do torby podróжной włożył, torbę zaś powiesił w szafie, w której miał ubranie. Wszystko to Jurek widział dokładnie, wiadomym sobie sposobem.

Nadto profesor miał tej nocy spotkać się z Julką w gościnnej stancji, którą dziewczyna obiecała otworzyć.

— A ty zkad wiesz o tem? — spytał ogrodnik.

— Oho, pilnuję ja ich, jak swego nosa od samego początku. Że to chyba dziś będzie to pewno, bom teraz ruszał klamkę i drzwi są otwarte. Ale to prędzej nie będzie, jak koło północy, bo profesor będzie czekał, aż ja kamieniem zasnę i dopiero koło mojej budy śmiało przejdzie.



Naradzali się następnie ze sobą jeszcze dosyć długo.

Pan Bukłowicz położył się na łóżku w ubraniu, zdjął tylko buty i świecę zgasił. Jurek zaczął chrapać przeraźliwie i pracował bez wytchnienia, dopóki profesor, bosy, nie wymknął się na dziedziniec.

Wkrótce potem Jurek, czołgając się po ziemi, podpełzał do drugiej sionki, zastał drzwi niedomknięte, posunął się na drugą stronę domu i znalazł tam rozciągniętego na ziemi ogrodnika.

— Szła już? — zapytał.

— Nie jeszcze... Leż za mną.

Leżeli obaj bez ruchu.

Niebawem doszedł do ich uszu szmer lekki, niby prędkie stapanie bosych nóg i znowu było cicho.

Jurek podczołgał się pode drzwi sionki: były trochę więcej przymknięte, aniżeli przedtem.

Rzucił w stronę leżącego ogrodnika małą grudkę ziemi i sam zniknął.

Ruszył się i ogrodnik ku oknu pokoju profesora, które wychodziło na ogród warzywny.

Kiedy pan Bukłowicz wracał do siebie, Jurek chrapał w dalszym ciągu pod schodami.

Julka zaś nie miała odwagi powracać przez podwórze do garderoby, usłyszała bowiem świstawkę stróża i chociaż głos szedł z daleka, zdawało jej się, że go słyszy już na podwórzu.

Zamknęła pokój z wewnątrz, wyjęła klucz z zamka, a sama przez okno skoczyła w ogród. Okno starym za sobą przymknęła i zaczęła się przeciskać przez krzewy; zaledwie jednak uczyniła kilka kroków, uczuła straszny ból w nodze. Nie krzyknęła, ale przysiadła z bólu na ziemi. Sięgnęła ręką do stopy; coś ciepłego oblało jej palce — zrozumiała, że to krew. Zrobiło się jej gorąco i słabo; przemogła się jednak i, dotykając stopy, odczuła twarde ciało, uwię-

zione głęboko w podeszwie. Nastąpiła na kawał stłuczonej butelki. Potrafiła odrzucić szkło, fartuszkciem określiła skaleczoną stopę i powlokła się z trudem dalej.

Michał zajechał raniutko po pana Bukłowicza. Chodziło o to, żeby wrócić na południe, nie opuścić lekcji z Żeniem i uniknąć dziennego upału. Jurek obudził profesora i przyniósł mu tymczasowe śniadanie: mleko i chleb.

Pan Bukłowicz ubrał się szybko, wypił mleko, torbę z szafy wyjął, otworzył ją, koperty z pieniędźmi dotknął, nawet odgiął wierzch zlekką, tak, że mógł widzieć umieszczone wewnątrz pieniądze, poczem torbę przez siebie przewiesił — i pojechał.

Prze cały czas, poczynawszy od spożywania śniadania aż do wyjazdu profesora, Jurek nie wychodził z pokoju: coś sprzątał, coś układał, podawał. Kiedy otwierał pan Bukłowicz torbę, Jurek silnie pobladał; nachylony nad umywalnią, sięgał po miednicę, a boki pilnie wpatrywał się w ruchy profesora.

Gdy bryczka odjechała, chłopakowi zaiskrzyły się oczy, krew uderzyła do twarzy, nie oglądając się na pokój, drzwi nie zamknawszy, wyskoczył na dziedziniec i w wielkich susach podbiegł do inspektów. Przy parkaniu w rogu czekał na niego ogrodnik widocznie pomieszany i wzruszony. Jurek rzucił mu przez szczeble parkanu wiadomość:

— Pojechał... zaglądał... ale nic...

— Zaglądał? — powtórzył ogrodnik, przytknąwszy twarz do parkanu.

— Ale nic... pojechał.

Ferdynand uśmiechnął się.

— A widzisz, głupi, dobrzem radził! Teraz umykaj i będziemy czekać czasu.

— Ja do pana Ferdynata już się nie będę nawet obracać, aż bieda przejdzie.



— Ma się wiedzieć — odparł ogrodnik.

Tymczasem pani Gdulska i szafarka były w fatalnych humorach. Pojutrze wypadały sławne imieniny pana radcy; zostawiono na ostatnią chwilę prasowanie bielizny, na tę uroczystość potrzebnej, a Julka mistrzyni-prasowaczka, leżała z obwiązaną nogą.

— Czy Teofila widziała tę nogę? — zapytała pani Tekla.

— Nie widziałam, proszę pani.

— Trzeba było obejrzyć. Czy bardzo się skaleczyła?

— Co tam takie nożysko oglądać! Zdrapała sobie gdzieś skórę, robić jej się nie chce — i leży.

— Tem więcej należy sprawdzić! Proszę, niech się Teofila od niej dowie: kiedy się skaleczyła i czem?

— Pytałam się, proszę pani, no, i co po tem, kiedy się od niej niczego dowiedzieć nie można: wsadziła nos w poduszkę — i tyle.

— A kiedyż to się stało?

— Jakem rano wstawiała, to ona już mówiła, że nie może chodzić, bo ma nogę przebitą.

— Czy wychodziła wieczorem?

— Kto ich tam upilnuje! Może i wychodziła. Człowiek się napracuje, położy się i śpi, a taka sroka wyleci i lata...

Pani Tekla poszła do Julki. Okazało się, że stopa bardzo silnie została rozdarta; krew się już nie sączyła, ale noga zaczynała puchnąć, a rana była mocno zaogniona.

Dziewczyna objaśniła, że w wilgę wieczorem, powracając z kuchni czeladnej, nastąpiła na szkło; zawiązała nogę w nadziei, że to lekkie skaleczenie, tymczasem w nocy cierpienie się wzmogło.

Ponieważ szafarka oświadczyła, że na krew patrzeć nie może, pani Tekla zajęła się sama przemyciem rany i obandażowaniem, a następnie gorzkie

czyniła wymówki Franciszkowi, Jurkowi i wszystkim, kogo spotkała, że kawałki szkła wyrzucają na ścieżki.

Wymówki nie pozostały bez echa. Kiedy pan Gdulski wrócił z pola do domu koło południa, Franciszek, asystujący mu przy zmianie ubrania, nie omieszkiał zabawić go narzekaniem: oto Julka niezawodnie gziła się w kuchni i drzazgę sobie w nogę wbiła, a pani wyłajała jego, Franciszka, za jakieś szkło, którego on w życiu swoim nie widział; zakończył prośbą:

— Niech pan będzie łaskaw wejrzyć w to wszystko: po nocach włóczy się jedno z drugim — tałałajstwo... nawet stróż, co śpi ciągiem, i ten, dzisiejszej nocy widział, że ktoś papierosa zapalał koło oficyny... Nie daj, Boże, ognia narobią!

Wiedział Franciszek, że trafia w czułą stronę dziedzica.

Panu Janowi ani Julka, ani szkło nie zostałyby w pamięci, lecz ponieważ chodziło o palenie papierosów koło budynków, postanowił to rozważyć, oczywiście po obiedzie.

Ale kiedy rozmyślał nad tem, czy Michał nie zmęczy zanedo młodego kasztana, którego zaprzął dziś dla pana Bukłowicza, zaturkotała bryczka i po chwili profesor wszedł śpiesznym krokiem do kancelarii.

Mocno był tem pan Jan zdziwiony, pan Bukłowicz bowiem nigdy — nie zaproszony — nie przychodził, o interesach zaś mówił przy stole.

Profesor był bledszy, niż zwykle; trzymał w ręku kopertę, którą miał oddać na pocztę, ręka mu drżała. Oddając papier gospodarzowi, powiedział głosem głuchym i urywanym:

— Nie wysłałem pieniędzy... Nie mogłem... bom całe sumy nie znalazł dziś w kopercie.

Pan Jan nie zrozumiał i oczyma pytał.



— Pan dał mnie wczoraj 720 rubli?

— Tak — potwierdził gospodarz.

— I ja pamiętam, że 720 — mówił pan Bukłowicz — tymczasem przywiozłem na pocztę 520... Dwustu niema... zgubiłem...

— Cóż znowu! — zawołał pan Jan. — Nie mogłeś pan zgubić dwustu, bo byś wszystkie odrazu zgubił. Na pocztę źle obrachowali.

— Rachowałem potem sam, niema...

Profesor miał minę tak zbiedzoną, cała postać jego wyrażała tak silne zgnębienie, że pan Jan odczuł to odrazu. Przeliczył pieniądze — rzeczywiście brakowało dwustu rubli.

— Pan nie zgubiłeś, to niepodobieństwo; w jadłonym pokoju sam pan włożyłeś całą sumę w kopertę, a kopertę gdzie pan umieściłeś?

— W torbie podróżnej.

Pan Jan pomyślał chwilę, potarł ręką czoło, potem powiedział:

— To moja wina. Wczoraj rachowałem pieniądze w pańskiej obecności, aleś pan nie sprawdzał; musiałem się omylić... Przepraszam pana...

I rękę do stojącego przy biurku profesora wyciągnął.

Ten jednak stał bez ruchu i wpatrywał się w pana Gdulskiego, z początku z najwyższym zdumieniem, a po chwili z widocznym rozrzewnieniem w oczach.

— Co pan o mnie myśli? — zapytał nagle pan Bukłowicz, lecz słowa te wymówił takim głosem, jakgdyby gwałt sam sobie zadawał.

— Jakto, co myśleć? — zawołał pan Jan. — Niech pana bogi kochają!...

I, zanim się profesor opamiętał, ucałował go w oba policzki, a potem ręce mu na ramiona położył i wesołym, szczerym głosem dodał:

— Napędziłem panu strachu niechcący. Oczywiście

sta rzecz, że się omylił. Każdemu to się przytrafić może... No, niech mi się pan rozchmurzy... Przepraszam raz jeszcze!

Profesor odpowiedział uściskiem dłoni, przeszedł się następnie kilka razy po pokoju i rzekł powoli i spokojnie:

— Szczerze dziękuję za to, co pan w tej chwili dla mnie uczynił, ale daruje pan, że zgodzić się z tem nie mogę. Myśl teraz mam rozbitą... Proszę mi pozwolić rozważyć moje położenie... Dziś jeszcze ułożymy, w jaki sposób rzecz całą załatwić.

Wyszedł i nie siadł wcale do obiadu; chciano mu przysłać jedzenie — podziękował. Po południu lekcje z Żeniem odrabiał, po lekcjach zamknął się w swoim pokoju.

Pani Tekla mocno się niepokoiła; zdawało jej się, że profesor koniecznie „musi sobie coś złego zrobić”.

Ale pan Jan uspakajał ją, dowodząc, że się młody człowiek musi wyburzyć i że choćby nawet miał zamiar zrobić sobie coś złego, to wprzód będzie się z nim jeszcze widział i mówił:

— Ja ci powiadam, moja Teci, że tam jest szlachetny grunt i serce; w głowie jeszcze się kielbasi, niewyrobiany jest — ale grunt ma.

Oboje z żoną długo rozmawiali o wypadku pana Bukłowicza i doszli do przekonania, że popełniona została kradzież. Profesor nie mógł zgubić części powierzonej mu sumy; pan Jan wiedział, że całą sumę wręczał, w biurku bowiem zostało mu tylko kilkadziesiąt rubli; więc można było tylko kradzież przypuszczać. Postanowili jednak zacząć działać dopiero po porozumieniu z profesorem.

Postanowienie to nie obowiązywało Franciszka, który na męża stanu zdawał się być stworzony i zarówno wewnętrznymi, jak i zewnętrznymi sprawami domu stale się zajmował.



Dowiedziawszy się o stracie pieniędzy od Michała, któremu na pocztę zaraz pan Bukłowicz kazał w bryczce szukać zguby, Franciszek zdażył po krótko wspomnieć o tem kucharzowi i szafarce, poczem, w czasie zmywania naczyń po obiedzie, nie spuszczał Jurka z oczu i doszedł drogą prędkiego namysłu do przekonania, że pieniądze ukradła Julka.

Zaraz też zameldował o tem panu Gdulskiemu.

— Z początku — mówił — myślałem, że Jurek. Przy zmywaniu gadam mu tak — odrazu: Masz ty pieniądze? On powiada, że nie ma. A chciałbyś mieć? „Ojoj!” powiada. To szukaj — mówię — tych, co zgubił profesor; przecie ci znaleźne dadzą. A on powiada: „Jakbym znalazł, tobym nie głupi był oddać, inobym uciekł za granicę i tyleby mnie widzieli”. I śmieje się, jak głupi. Przecie ten chyba nie ukradł! Ale Julka, proszę pana, Julki niezawodnie to sprawa. Ona profesorowi bieliznę nosi i wie, gdzie tam u niego co jest; poszła w nocy, wzięła, wracając, Boska moc zrobiła, że sobie nogę rozwalila na szkle — i na co innego dowodu? Niech pan pozwoli, ja jej siennik i na niej spódnicę przetrząsę i skrzynię zrewiduję.

Ku niesłychanemu zdumieniu Franciszka pan Jan powiedział mu, żeby się nie wtrącał do tego, co do niego nie należy.

— Słucham jasnie pana! — odpowiedział, a używał tego jasnego tytułu zawsze, ilekroć był podrażniony, ale swoją drogą, że Julka ukradła, to Julka...

— Djabli wiedzą: może i Julka! — pomyślał pan Jan.

Przed wieczorem cały dwór dziwował się, jak to Pan Bóg złodziejkę pokarał, i opowiadano sobie, że dziedzic chciał związać dziewczynę i do strażników odstawić, ale dziedziczka nie dała, bo nie byłoby komu spódnic pięknie prasować.

Późnym już wieczorem pan Bukłowicz przeszedł do kancelarii pana Gdulskiego. Oświadczył, że musi spłacić brakujące dwieście rubli; że jednak nie byłby w stanie dopełnić tego ze swojej pensji odrazu, prosi więc, aby mu rozłożyć wypłatę na półtora roku, z procentem sześć od sta, a on, gdziekolwiek będzie pracował, kwartalnymi ratami dług uiszc.

Próbował pan Gdulski nie zgadzać się wogóle na żadną spłatę, następnie nie chciał słyszeć o procencie, potem wezwał żonę do pomocy, ale profesor krótko i węzłowato rzecz zakończył:

— Dobrze, ustępuję pod warunkiem, że pan da słowo honoru, jako pan te dwieście rubli w kasie swojej odnalazł.

Pan Jan zaczął się jakoś jękać.

— Jestem młody i zdrow, zarobić na życie potrafię — ciągnął profesor. — Sądzę więc, że nie możecie państwo odemnie żądać, abym od was brał jałmużnę. Winienem z tej czy innej przyczyny, powinienem zapłacić i zapłacę. Od państwa wiele już żądam, prosząc o ułatwienie spłaty.

Pan Jan badał profesora, czy wychodził wieczorem lub w nocy ze swego pokoju, czy sen ma twardy, gdzie leżała torba z pieniędzmi, słowem, starał się wyjaśnić okoliczności, mogące stwierdzić sposób kradzieży.

Pan Bukłowicz objaśnił, że w nocy nigdzie nie wychodził, że sen ma dosyć mocny, a torba była w szafie.

— Bo to, widzi pan — odezwała się pani Tekla — jest podejrzenie na Julkę.

Profesor okazał pewne zmieszanie, ale spytał:

— Czy są poszlaki?

Opowiedziano mu o skaleczeniu się dziewczyny, o czem widocznie nic nie wiedział.



— Pan nie zamyka drzwi na klucz, mogła wejść w nocy i dostać się do pieniędzy.

Pan Bukłowicz słowem zaręczył, że Julka nie jest winna, bo wiedzieć o pieniądzach nie mogła i dodał, że wogóle wyklucza wypadek kradzieży, gdyż złodziej zabrałby całą sumę z kopertą, a nie wybrałby sobie dwóch sturubłówek.

Pan Gdulski wszakże zapowiedział, że dla samego porządku będzie się starał sprawę wyjaśnić.

Jakoż już następnego rana zaczęły napływać wyjaśnienia.

Stróż zeznał, że całą noc poprzednią przesiedział w ogrodzie warzywnym, kazała mu bowiem szafarka dopilnować: kto marchew wykrađa. Widział owej nocy dwie rzeczy: naprzód skradała się jakaś osoba niska, gruba i kulawa, rychtyk do ekonomskiej dziewczki podobna, ale uciekła, nie doszedłszy do marchwi, bo stróż niechcący kaszlnął; następnie widział wyraźnie, w stronie okna profesora błysk światła, jakby ktoś zapalał papierosa; czy to było światło ze dworu, czy z pokoju — nie zauważył. Co się dalej działo, nie wie, bo nic więcej nie widział; słyszał jednak, że „coś szło, szło — i poszło“.

Szafarka twierdziła, że to ekonom stał pod oficyną i papierosa zapalał, czekając, na szczęście na próżno, aż jego dziewczka marchwi w płachtę nakradnie.

Ekonom dowodził, że stróż łąe od początku do końca i ofiarowywał się pokazać to miejsce, na którym stróż leżał w marchwi; a że legowisko bardzo silnie ubite, tedy samo przez się rozumieć należy, że „kanalja“ spał całą noc, jak zabity, a więc nie mógł nic widzieć.

Znalazła się stara baba z ósmaków, która tłómaczyła wszystkim, kto chciał słuchać, że pieniądze się wykryją, byle kopać w ogrodzie pod lipami, gdyż

jej się właśnie tej nocy śniło, że pod lipą nieboszczyk jej mąż ogień rozpałił i piekł kartofle.

Owczarz, z tego snu biorąc asumpt, rzucił myśl, że pieniądze mógł ukraść ogrodnik.

Franciszek chętnie się do tego zdania przychylił i opowiedział wszystkim, ale pocichu, że złodziejstwo popełnił Julka z ogrodnikiem do wspólki, ponieważ oboje są oddawna w porozumieniu.

Jurek nie wytrzymał, zetknął się ukradkiem z Ferdynandem i wszystko mu powtórzył.

Wzmianka o porozumieniu z Julką więcej dotknęła Ferdynanda, niż posądzenie o kradzież. Złość zwyciężyła strach i nasunęła projekt obrony.

Ślady krwi na twardej suchej ścieżce ogrodowej dały mu możność odszukania miejsca, w którym dziewczyna przebiła sobie nogę. Wskazał tedy szafarce i przekonał ją, że Julka odwiedzała profesora w jego pokoju, obierając drogę przez ogród i wchodząc przez okno, aby się, w której Jurek sypiał, ominąć.

Teofilowa rozłożyła ręce, jak do ukrzyżowania i miała zamiar wznieść oczy ku niebu, że jednak wieczny szary szal osunął się z jej ramion, nasunęła go szybko i, ułożywszy zręcznie w piękne fałdy, założyła ręce na piersiach i wyrzekła:

— O, słodki Jezu! — potrząsnęła kilka razy głową i dodała: — Na rynku pasy-bym darła!

Ostrożny ogrodnik objaśnił, że nie może sięgać, iż to wszystko, co mówił, naprawdę się zdarzyło, że jest to tylko przypuszczenie, tak jednak słuszne, że... ale mu przerwała szafarka:

— Pan Ferdynat nie przysięgniesz, to nic, ja mogę przysiąc! Chociaż ich nie widział, to za to teraz mam ich w oczach... Podzielili się pieniędzmi po tem wszystkim... On nie jest człowiek, to antychryst!



— Jak on nas buntował z Jurkiem — wtrącił ogrodnik.

— Nie trza mnie mówić! — zawołała. — Ja wiem: on nawet dziecko pańskie zepsuł. Żenio opowiadał — samam słyszała — Marcinowi, o tęczy, co przecie jest cudowny znak Boski, że to deszcz się w słońcu przegłąda.

Na dalsze wywody nie było czasu. Teofilowej pilno było walczyć za prawdę i szukać sprawiedliwości.

Podzieliła się nową wiadomością z Franciszkiem i szukała pani Tekli. Znalazła ją w garderobie, u posłania Julki, która cierpiała ból niezmierny; wywołała na korytarz i podejrzenia ogrodnika jako własną najpewniejszą wiadomość podała.

Pani Tekla wysłuchiwała z wielkim spokojem. Szafarka nieraz później opowiadała, że nie mogła zrozumieć, jakim sposobem pani Tekla nie rzuciła się w tej chwili do besztania Julki, ale owszem, napomniała Teofilową, żeby brzydkich plotek nie robiła. Ale tak to już jest na tym świecie, że u państwa wszystko od humoru zależy.

Tymczasem, żeby nie Teofilowa, do dziś dnia nie byłoby końca sprawy.

Szafarka, przedstawiając pani Tekli rzecz całą, nie hamowała na korytarzu swego głosu. Mówiła z tą werwą i donośnością, które sprawiają, że spokojny słuchacz nigdy nie przerywa i nie przeczy, w miłej nadziei, że krócej słuchać będzie zmuszony.

Julka niechęć dowiedziała się, o co chodzi, bo tuż przy ścianie korytarza leżała.

Rozgorączkowana bólem, przerażona strasznem oskarżeniem, zaczęła się zalewać gorzkimi łzami.

Kiedy pani Tekla zajrzała znowu do garderoby, dziewczyna chwyciła jej rękę i, całując tę rękę bez miłosierdzia, wypowiadała się ze wszystkiego.

Pani Tekla i wtenczas nie podniosła krzyku; na szczęście jednak Teofilowa przy tem nie była, więc i dziwić się w dalszym ciągu nie mogła.

Spokojna pani Gdulska dopiero wtedy omal że nie krzyknęła, kiedy Żenio wpadł do jej pokoju z zapytaniem:

— Mamusiul! Mówią, że Julka przychodziła do pana Bukłowicza w nocy przez okno. Dlaczego, mamusiul, przez okno?

— Dlatego, że ja ją posłałam.

W zwykłych okolicznościach odpowiedź taka wystarczała Żeniowi w zupełności; w danym jednak wypadku malec zażądał dopełnienia.

— Dlaczego mamusia ją posłała w nocy przez okno?

— Dlatego, moje dziecko, że pan Bukłowicz zamknął drzwi na klucz, nie chciałam go budzić a chcieliśmy z tatkiem czytać gazety, których profesor nie odniósł.

— Mamusiul, a dlaczego?...

Ale pani Tekla umiała decydować się szybko. Okazało się, że właśnie miała wołać Żenia i oznajmić mu, że pojedzie z Franciszkiem do cici, do Zagórza, bo ciocia bardzo o to prosiła.

Zanim się chłopak przebrał, znalazły się gotowe konie; mama napisała do Zagórza kartkę, Franciszek otrzymał wyraźną instrukcję — wyjechali.

Należało się rozmówić z panem Bukłowiczem.

Pan Gdulski dawał żonie słowo honoru i na kochanie się zaklinał, że następnego dnia rano spełni ten obowiązek; zaraz bowiem nie może tego uczynić: musi obrachować kowala, musi się widzieć z pisarzem gminnym... głowa go boli...

Pani Tekli wypadło zrobić to, co często robiła: zastąpić swoją zdrową głową chorą głowę męża.

Poszła do oficyny, wywołała profesora, zabrała



go z sobą do małego saloniku i miała z nim bardzo długą rozmowę.

Mówiła otwarcie, szczerze i musiał odczuć jej dobre chęci i słusność tego, co mówiła, skoro ku końcowi rozmowy w rękę ją pocałował.

— Niech mi pan wierzy — powiedziała w chwili, kiedy mieli się już rozejść, — że co do zrozumienia potrzeby polepszenia bytu naszej służby i umoralnienia tych ludzi niema różnicy przekonań pomiędzy panem i nami; na sposoby jednak, jakie panu pod tym względem zdają się, czy też zdawały się słuszne do zastosowania, żadną miarą zgodzić się nie możemy: ani mój mąż, ani ja. Wymawiał pan nam niedawno, że my nic nie robimy. Przypuszczam nawet, że tak jest, jak pan powiedział, z drugiej strony tego rodzaju działalność, jaką była pańska, nie daje w praktyce korzystnych rezultatów...

Uśmiechnęła się i odrazu przeszła do innego przedmiotu:

— ...Ale ja będę prosiła pana o małą przysługę: musi pan trochę wcześniej wyjechać na kolej, żeby Michał miał czas...

— Owszem, owszem, proszę pani — skwapliwie podchwycił profesor. — Pamiętam o tem, że państwo jadą na imieniny radcy.

— Nie, nie o to chodzi. Proszę dlatego, że Michał ma wstąpić po doktora. Julce potrzeba będzie robić operację: kawałki szkła musiały głęboko utkwić w nodze. O moim wyjeździe niema mowy, byle doktor dość wcześniej przyjechał...

Jurek przez cały czas trwania tej rozmowy szukał sposobu podsłuchania: o czem rozprawiają, ale mu się nie udało. Profesor, powracając do oficyny, spojrzał mu w oczy i przeszedł, nie odezawszy się ani słowem.

Chłopak uczuł się zgubionym. Kiedy bowiem Franciszek odjeżdżał z Żeniem, na zapytanie Jurka: dokąd jadą — odpowiedział wyraźnie:

— Panicz do Zagórza, a ja po strażników.

Nie długo myśląc, Jurek pobiegł do ogrodnika.

— Panie Ferdynat, daj mnie moją setkę.

— Coś ty się wściekł? Teraz ci będę dawać!

— Dawaj pan, bo ja będę drałować. Stary pies pojechał po strażników, a we dworze het radzą.

— Aha, mądryś! Kiedy mnie samego puszczasz, to już ja z całemi pieniędzmi zostanę.

Nie pomogły prośby, ani pogróżki Jurka, ogrodnik był niewzruszony.

— Jak współka, to współka do końca; nie chcesz współki, to niech ci się i smarówki nie chce.

— Będziesz ty siedział, zobaczysz! — rzekł Jurek, odchodząc.

— Już ja wtedy i ciebie wyszukam, nie bój się! — odparł drwiąco ogrodnik.

Kiedy wieczorem nadszedł czas podania samowaru, napróżno szukano Jurka.

Pan Bukłowicz pakował swoje rzeczy w nocy do późna, a kładąc się spać nad ranem, spostrzegł na poduszce skrawek papieru, na którym wyczytał:

„Pinionze ukrat ogrodnik”.

Poznał pismo Jurka, domyślił się, że chłopak go okradł, uciekł i na niewinnego winę zwała.

— Przydała się moja nauka pisania — pomyślał.

Nazajutrz rano nie było we dworze ani profesora, ani Jurka. Franciszek sam osobiście musiał dmuchać w samowar, a państwo Gdulscy naradzali się ze sobą, co robić z Żeniem?

Żenio bawił u cioci dwa tygodnie. Przez ten czas uspokoili się trochę umysły dworskich ludzi, przycichły plotki. Julka mogła już, siedząc na łóżku, ce-



rować pończochy; wesele Hanki się odbyło i dostarczyło świeżych a przyjemnych wrażeń; ogrodnik otrzymał list od siostry z Pułtuska, w którym wzywa go po odbiór sukcesji po jakimś zmarłym stryju. Ferdynand więc prosił o uwolnienie od kwartału.

Ciocia sama odwiozła Żenia; nieobecność profesora upozorowano chorobą jego matki.

Wieczorem, przy stole, chłopiec zwrócił się nie spodzianie z zapytaniem:

— Mamusiu, jak mamusia posyłała Julkę w nocy przez okno do profesora, to kto jej okno otworzył?

— Głupiś! Nie przeszkadzaj! — zawołał ojciec.

I z niezwykłym ożywieniem zaczął tłumaczyć cioci, że sprawa Dreyfusa kosztuje go rocznie 6 rubli, ponieważ zapełnia połowę każdego numeru gazety.

Pani Tekla przyznała w duchu, że tym razem mąż uratował sytuację.

Żenio pocichu podeszedł do okna i próbował czy mu się przypadkiem samo nie otworzy. Nie otworzyło. Spróbował drugiego okna, ale i to się nie otworzyło. Przyglądał się ryglom i myślał...

Przy stole rozmawiano w dalszym ciągu o gazetach, a kwestja dostania się Julki do oficyny pozostała nierozstrzygnięta.

Chłopakowi ni ztąd, ni zowąd przypomniało się czyjeś narzekanie: że niema sprawiedliwości na świecie.

## R O M U Ś I Z O S I A .

(Z NAPISÓW NA SZKLE).

Romuś i Zosia poznali się na jakimś balu. Spotykali się następnie i rozmawiali ze sobą tyle razy, ile potrzeba na to, ażeby znajomi zaczęli opowiadać, że „on się o nią stara”.

Potem Romuś przyjeżdżał do domu rodziców Zosi, a podczas tych odwiedzin oboje młodzi napatrzili się na siebie tyle — ile wypadało i narozmawiali dosyć, a zawsze bardzo grzecznie — żeby spraw poważniejszych nie poruszać.

Na zasadzie przesyłanych sobie spojrzeń, mniej lub więcej dyskretnych uśmiechów i nieumyślnych uściśnień dłoni, oraz gruntownego poznania wzajemnych zapatrywań na kwestje zasadnicze, jako to: co jest modne, co wygodne, a co przyjemne; jak również jednakowego odczuwania różnicy pomiędzy dniem słonecznym a deszczowym, — wydało się obojgu, że się sobie podobają. Romuś oświadczył się o rękę Zosi. Nikt nie miał nic przeciwko temu. Nastąpiły chwile największej wagi: kupno wyprawy panny młodej, urządzenie domu pana młodego; spisywanie gości, których wypada prosić i układanie listy tych wszystkich osób, którym, z racji wiadomego ich miejsca zamieszkania, należało wysłać zawiadomienia (czyta się „ferpary”). Ale wszystko to poszło gładko. Potem pozostały już tylko krótkie formalności, ślub, wieczera i wyjazd państwa młodych.

I to się bez przeszkód odbyło.



Nazajutrz po ślubie podróżni, jadący koleją widzieli w przedziale 1-ej klasy młodą parę, zajęta czytaniem i układaniem według jakiegoś szczególnego porządku — wielkiego mnóstwa kartek papieru.

— Każę to oprawić w Warszawie, — mówił Romuś.

— A jak? — spytała Zosia.

— W aksamit ze złoceniami.

— Fe, to nieładnie będzie.

— A jakże inaczej?

— Tak — jak wiesz — Potockiego „Polowania”.

Zgodził się Romuś. Chodziło o przechowanie dla potomności stosu depesz, z podpisami setek Iksowskich i Iksowiczów pod treścią niezmiernie oryginalną: „Szczęść Boże młodej parze”.

— Petelscy mają taki album? — badała Zosia.

— E, co oni tam mają! — odparł Romuś.

— To u nas będzie najładniej w okolicy?

— Ma się rozumieć... Zobaczysz!

Na ożywionej rozmowie podróż przeszła młodym niepostrzeżenie.

Kiedy na właściwej stacji wysiedli, a pociąg potoczył się dalej, konduktor znalazł w opróżnionym przedziale trochę skórek z pomarańcz, trochę kwiatów opadłych z bukietu i jakiś telegram: „pracujcie w miłości i zgodzie — ciotka Barbara”. Konduktor, opłacony przyzwolicie przez Romcia, mocno żałował, że nie mógł mu zwrócić tej depeszy; oczywiście nigdy by się nie był domyślił, że życzenia ciotki Barbary zostały rozmyślnie wyłączone z kompletu.

Podpis taki jest w złym guście — orzekł Romuś.

— Ta Barbara — c'est un peu barbare, — podjęła Zosia z uśmiechem.

Było w tem wiele słuszności: ciotka bowiem nazwała się po mężu zupełnie ładajako i, jako wdowa, mieszkała gdzieś tam... byle jak.

Oprócz pamiątek, znalezionych przez konduktora, została po młodej parze jeszcze jedna: napis na szybie, w przedziale wagonu, sporemi, acz niezupełnie foremnymi literami wyryty, uwieczniający imiona: „Zosia — Romusiek — 19...”

Pierwszą tę pracę, w miłości i zgodzie, jak to zalecała ciotka Barbara, zaręczynowym pierścionkiem uwiecznioną, dojrzał później jakiś podróżny.

— Trzeba być, dalibóg, ostatnim kpm, żeby psuć szyby! — rzekł w uniesieniu.

— Mylisz się — zaprzeczył spółtowarzysz, — nie „ostatnim” — takich kpów nigdy nie zabraknie.

O Romciu i Zosi mówiono ogólnie, że dobrali się i powinni być szczęśliwi.

— Bo to, uważasz mię dobrze, — tłumaczył sędzia, — on jest trochę próżniak, prochu nie wymyśli — bo walkoń był w szkole i daleko nie doszedł, ale ona dobra dziewczyna, wiele świata nie widziała, dla niej jego rozum wystarczy. On jest trochę letkiewicz... karteczki... tego... ale, uważasz mię dobrze, — przy żonie może się ustatkować. Matka jej okrutnie oszczędna, to i ona potrafi jego jakoś tam... pomału... tego... Pierwszy rok, drugi... wciągną się i dobrze będzie.

Jakoż zupełnie dobrze się zaczęło. Młoda para urządziła się we dworze wygodnie. Ekonom zarządzał gospodarstwem męskim, szafarka — kobiecym; furman pilnował stajni, ogrodnik — ogrodu, służący — kredensu, kucharz — kuchni, a panna służąca — garderoby.

Romuś z Zosią kładli się spać wcześniej i wstawali późno. We dnie jeździli trochę w pole, trochę chodzili po ogrodzie; w domu — on palił papierosy, ona próbowała coś zagrać na fortepianie, albo — najczęściej tak-sobie siedziała z jakąś robótką czy z „kurjerem”. Dobrze im było. Czas upływał... Kładli się wcześniej, wstawali późno. Spokojnie — cicho.



W jesieni pojechali zagranicę. Przejechali przez Berlin, Paryż, Nizzę, Monaco, Wenecję, Wiedeń — i wrócili do domu. Przywieźli trochę sprawunków, bo zagranicą wszystko bardzo tanie; mnóstwo fotografii i albumów.

W pierwszej chwili po powrocie — dom wydał im się dziwnie pusty; ale kiedy rozpakowano kufry, a następnie oboje ukończyli rozkładanie fotografii i albumów na stołach i stolikach, w pokoju bawialnym i w małym saloniku, — zrobiło się w domu ładniej.

Wypadało złożyć wizyty krewnym, kuzynom, sąsiadom. Zajął to sporo czasu. Następnie tamci zaczęli wywzajemniać się odwiedzinami. Znowu czas zajęty. Zosia i Romuś pokazywali fotografie, opowiadali o hotelach, table d'hôte'ach, ekspresach, sleepin-gach, teatrach — i było bardzo wesoło i zajmująco. A jeżeli, czasami, rozmowa zesła na poważniejsze tory, jeżeli Zosia — na przykład, opowiadała, że w Wenecji jest ciszej na ulicy, niż w Warszawie, bo nie ma dorożek, albo, że w Nizy i w Monaco palmy sobie rosną — jak zwykle u nas drzewa, była to już rozmowa pouczająca.

Romuś, niekiedy, brał na stronę gościa, którego za człowieka więcej inteligentnego uważał, i szeptał mu coś w zaufaniu. W miarę opowiadania cmokał, przykładając palec do ust i bił się w piersi, dowodząc, że — jak żyje — nic podobno wprzód nie widział. Gość zwykle — choć raz mówił — „no — no!” i dziwnie mrugał oczyma.

Po upływie kilku miesięcy wszyscy znajomi wiedzieli już dokładnie o tem: co widzieli i co podziwiali Zosia i Romuś zagranicą.

Nastąpiła pora pilnych robót polnych. Skończyły się wizyty, bo sąsiedzi nie ruszali się z domów. Rozpoczęła się serja tak długich dni, że niepodobna

było zapełnić ich żadnem zajęciem. Zosia radziła sobie jeszcze nieźgorzej: po śniadaniu chodziła trochę za szafarką, a po obiedzie wyszukiwała ogrodnika, bo ten oryginalny człowiek zawsze starał się gdzieś dokładnie chować, — i jakoś nie odczuwała wielkiej nudy. Romuś, przeciwnie, odczuwał wielkie przygnębienie. Chodzić za żoną nie było celu, bo wiedział przecie, że daleko Zosia nie odejdzie; w polu nie było co robić — bo ekonom wszędzie dojedzie na bułanym człapaku; w gumnie jest karbowy...

Rozpaczliwe położenie: żadnego zajęcia, żadnej rozrywki! Na szczęście Józefowi — furmanowi — przyszła trafna myśl do głowy.

— Jaśnie pan, żeby tak ino chciał, mógłby zakasować Kielbieńską stajnię... Co tam jest? Szczerze chabety! Na popisach wygrywają nagrody — bo lepszych koni niema, a gdyby nasze poszły — to... no!

Romuś niejednokrotnie już był zauważył, że Józef jest sprytny chłop, teraz jednak przekonał się, że to człowiek zupełnie rozumny.

Inne życie zapanowało we dworze. W stajni zajaśniał cel wielki; ze stajni powiało ożywcze tchnienie. Zanim się zabrano do rozgatkowania młodych koni ze stadniny, — zmieniono całe urządzenie stajni i sprawiono nowe ubrania dla Józefa i dla chłopców stajennych, których miało być tymczasowo tylko trzech.

Józef doradził, żeby przedewszystkiem wystąpić zaraz w jesieni z kłusakami, a tymczasem sposobić się do innych wyścigów. Oczywiście chodziło o popisy prowincjonalne; prawdziwe tryumfy — stołeczne — były przewidywane, ale w dalszej przyszłości.

Romuś próbował rozbudzić w żonie zapał do sportu końskiego, Zosia jednak nie dała się porwać. Okazało się, że miała pospolite upodobanie: nabierała coraz więcej zamiłowania do hodowli drobiu i,



pod wpływem projektów szafarki, marzyła o wielkich zyskach ze sprzedaży prosiąt.

W krótkim przeciągu czasu drogi młodego małżeństwa rozeszły się wyraźnie: mąż poszedł wielkim traktem miejscowo-sportowych ideałów, żona podrep-tała małą ścieżką kobieco-spiżarnianych widoków.

Przyznać trzeba, że oboje nie czuli wzajemnie do siebie żadnego żalu; mniej się widywali we dnie, to prawda, wieczorów przecie nie zatruliwali sobie wy-mówkami.

Jesień przyniosła im spełnienie gorących prag-nień: Józef na wyścigach w Głowokrętach wziął na-grodę ze jazdy klusem parą koni w zaprzęgu, szafar-ka zaś sprzedała na jarmarku dziewięcioprosiąt.

Zdziwiło wprawdzie Zosię to, że czworo po znacznie wyższej cenie wypadło, niż pięciopro-tętego samego wieku, szafarka jednak wytłomaczyła jej — jak na dłoni, że prosięprosię nie równe — choćby się na oko zdawało, że są jednakowe. Ale Romusia radość była zupełna. Józef i chłopcy stajenni zostali obdarowani z hojnością, tak dalece przechodzącą ich nadzieję, że odrazu i to już na zawsze przewróciło im się w głowach.

Romuś postanowił pojechać do Warszawy, aby osobiście dopilnować dokładności doniesień o wyścigach Głowokręckich w poważniejszych gazetach. Pojmował jasno swój obowiązek. Raz jeden tylko czy-tał nazwisko swoje drukowane, mianowicie w rubryce zawiadomień o ślubach — i wtedy właśnie odwieczny rodowy przydomek *Kracz* — nieuważny zecer na *kwacz* przerobił.

Obecnie należało dać pilne baczenie, aby nazwy koni, nazwiska ich właścicieli, dystans i czas trwania biegu — wszystko podane było do wiadomości publicznej bez cienia niedokładności. Oprócz tego chwila nadawała się wybornie do zawarcia znajomo-

ści ze sportsmenami, bawiącymi w Warszawie. Sły-szał już uprzejme głosy:

— A... bardzo mi przyjemnie... wszak to pańska stajnia wygrała w Głowokrętach?

Na co odpowiadał w myśli:

— Tak... moje konie... ale to bagatela..., — i przejrzał się w zwierciadle, starając się przybrać lekceważący wyraz twarzy.

Jechać wypadało natychmiast, a wybrać się na kilka dni, a może na dłużej. Żle się złożyło, że Zo-sia czuła się niezdrową i nie mogła mu towarzyszyć; ponieważ jednak teściowa obiecała w tym właśnie czasie swój przyjazd, Romuś wyjechał z domu zupeł-nie o żonę spokojny.

W Warszawie wszystko poszło jak z płatka. W redakcjach przyjmowano go z umiarkowaną, ale dostateczną grzecznością; nie częstowano papierosa-mi, ale w dwóch lokalach, gdzie było wolne krzesło, proszono, aby usiadł. Znajomości w sferach sporto-wych pozawierał sporo. Ułatwił mu to pewien pan, którego spotkał w restauracji i z którym zaprzyjaź-nił się w przeciągu dwóch godzin. Nieoceniony ten człowiek oddał się cały na usługi Romusia i wpro-wadził go do bardzo miłego domu, gdzie dobre to-warzystwo grywa w karty; tam też znalazło się pierwsze ogniwo dalszych znajomości i stosunków.

Właściwie mówiąc, Romuś nie znalazł jeszcze czasu i sposobności do zapoznania się z tymi panami *high life*, których nazwiska były mu oddawna pa-miętne, nie czuł się jednak zawiedzionym, bo ci pa-nowie, do których się zbliżył, zaręczali, że tamtych znają od dziecka i są z nimi „na ty”, opowiadali o ich koniach, zwyczajach i upodobaniach z dokład-nością, która, gdyby nie była zupełnie naturalną, mogłaby wydać się komuś — nieznanemu się na lu-dziach — najniezgrabniej wymyślona.



Romuś bawił w Warszawie dwanaście dni. Nie wypadało mu wyjechać wcześniej, był bowiem wygrany w karty sporą sumę i musiał dać rewanż. — Oddał, co wygrał i przegrał tysiąc zgórą. Został więc żeby się odegrać. Ostatecznie przegrał ogółem niecałe trzy tysiące. Hotel, restauracje, teatr, dorożki, — jedno z drugim... mało rzecz, niema o czym mówić.

Romuś też wrócił do domu uszczęśliwiony i o niczem nie mówił. Zosię znalazł wciąż niezdrówą: mało jadła, mało rozmawiała, była blada, — wydała mu się dziwnie nieładną. Teściowa przydłużyła swój pobyt. Romuś bardzo był rad z tego, bo matka żony znała się doskonale na kuchni i, ze względu na brak apetytu u córki, wymyślała z kucharzem potrawy, przyprawy i przystawki ze wszechmiar godne uwagi. Poza tem pani ta miała nieprzyjemne rozmowy z szafarką i ogrodnikiem, strofowała służbę domową za jakieś nieporządki i nigdy nie była zadowolona z pieczywa, — ale nie mieszała się zupełnie do stajen i wozowni.

Romuś powiedział sobie w duchu, że teściowie nie są tak straszne, jak je malują. W dowód szacunku dla tej matki nie przystał na to, żeby się usunęła do gościnnego pokoju; oddał jej swoje łóżko, które zajmowała podczas jego bytności w Warszawie, sam zaś przeniósł się do gabinetu obok kancelarii.

Pobyt teściowej przedłużył się do grudnia; odjechała, przeprowadzona najczulszemi westchnieniami szafarki, która jej w oczy wyznała, że „świat takiej dobrej pani nie widział”. Romuś jednak nie chciał już wyprowadzać się z gabinetu.

Wkrótce potem przybyła Zosi towarzyszka w osobie dalszej kuzynki, która miała pomagać w gospodarstwie domowem i niejako opiekować się zdrowiem Zosi. Była to niebardzo już młoda panna, żywa, energiczna, pięknego wzrostu, śmiałego wejrzenia,

z ledwo dostrzegalnym wąsikiem nad miętemi ustami. Z Zosią była oddawna w serdecznych stosunkach. Romuś widział ją zaledwie kilka razy. Zapoznali się jednak bardzo prędko. — Pierwszego zaraz dnia, przy kolacji, Romuś oświadczył, że głównym obowiązkiem kobiety jest — starać się przypodobać mężczyźnie.

— Tak — potwierdziła panna Helena — mężczyźni zaś uważają za główny swój obowiązek: poświęcać czas na sprawdzanie gorliwości kobiet w spełnianiu tego zadania.

— Przyzna jednak pani, — ciągnął Romuś z uśmiechem, — że mało, bardzo mało mamy tu, u nas, pań prawdziwie szykownych, takich, któreby zdolne były nie tylko podbić, ale i przykuć mężczyznę...

— Zapewne, wiele jest kobiet bardzo zwyczajnych, nie szykownych, — odparła spokojnie, — ale też i pomiędzy mężczyznami mało, bardzo mało jest rozumnych, z tych zaś połowa jest niedołęgów, a połowa narwanych.

Romuś ukrajał sobie spory kawał sera, panna Helena zajęła się obieraniem gruszki i to było przyczyną, że interesująca ze wszechmiar rozmowa nagle się urwała. Od tej chwili nigdy już przy stole nie podnoszono kwestji abstrakcyjnej natury. Romuś miał swoją filozofję:

— Twoja Hela zanadto narowna — mówił do żony — dobrych chodów już nikt u niej nie wyrobi.

Panna Helena zaś powiedziała Zosi:

— Twój mąż bardzo mało od kobiet wymaga...

— O, on jest bardzo dobry! — podjęła Zosia.

— W tem twoje szczęście, Zosieńko, że możesz go kochać.

Zosia jednak utrzymywała, że do szczęścia i panna Helena była jej potrzebna.

Rzeczywiście panna Helena zajęła się nią, jak młodszą siostrą: rozwijała w niej zamiłowanie do do-



mowego gospodarstwa, do kobiecych robót i codziennie czytywała jej książki, o które sama się starała, a których tytuły wprawiły Romusia w osłupienie.

— Czy ty, Zosiu, nie spisz, jak ona ci to czyta? — pytał.

— Dlaczego? — przecież to bardzo zajmujące... Ja się trochę ucze...

— Ano, toś ty wytrzymała! Ręczę: żeby ona koniowi dłużej poczytała, toby — albo urwał się i uciekł, albo zdechł.

Panna Helena nie mogła koniom zaszkodzić, bo do stajni nigdy nie zaglądała; starała się codziennie wyciągać Zosię z domu, omijały jednak zawsze dziedziniec stajenny. Romuś i Józef mieli sobie zawsze coś do zakomunikowania. Chłopcy raz w raz wyprowadzali jakieś konie, ustawiali, przymierzali, przejeżdżali i wprowadzali. Romuś całymi godzinami przechadzał się po stajennym chodniku, przystawał przed którąkolwiek klatką i, utkwivszy oczy w koński zad, zdawał się myśleć: oto objawiło mi się Piękno!

Ponieważ kłusaki potrzebowały ruchu, weszło w zwyczaj, że codziennie zaprzęgano jakąś parę i Józef jeździł na stację kolei po pocztę. Romuś nic nie miał w domu do roboty; spróbował jeździć z Józefem — dla rozrywki; znalazł przyjemność w tym ruchu i, o ile pogoda sprzyjała, począł też odwiedzać stację.

Przyjechał pewnego dnia konno z chłopcem stajennym. Wierzchowiec czegoś się przestraszył, wyrwał się chłopcu z rąk i puścił się przez pola; chłopak podążył za nim — na swoim koniu; Romuś musiał czekać na stacji.

Było to w kwietniu; dzień suchy, ale wietrzny i zimny. Zarząd kolei rozpoczął był odświeżanie poczekalni: odbito połowę tynku na suficie, pokój zamknięto i miało tak trwać aż do... ale tego nikt nie

mógł odgadnąć. Tymczasem publiczność musiała się mieścić w sali ogólnej.

Romuś miał ochotę porozmawiać z zawiadowcą, ale tego żeby bolały, machał ręką, trząsł głową, gadać nie chciał. Pomocnik zawiadowcy nie cieszył się sympatją Romusia, ciągle bowiem miał coś „panom dziedzicom“ do zarzucenia. Nie było wyboru: pozostawała tylko sala ogólna — jako schronienie, dopóki nie przyjdą konie.

Przez dwoje drzwi na przestrzał otwarte przesuwali się małomiasteczkowi żydkowie; ponad ruchliwym i krzyczącym narodem przelatywał przeciąg zimnego powietrza i wichrzył bez tego fantastycznie rozwichrzoną „kuafiurę“ stojącej za bufetem chronicznie nieuprzejmej damy. Nie zachęcająco również wyglądały stare zakąski na bufecie.

Romuś zajął kąt pomiędzy ścianą i otwartymi drzwiami, dokąd nie dochodziły przeciągi — i zażywał herbaty.

Silna — niemal męskiej figury — „panienka“ okazała słabość płci swojej przy posłudze, bowiem — pomimo tęgich rąk — doniosła w szklance tylko część herbaty, resztą zrosiła podłogę i napełniła spodek. Romuś zrobił o to wymówkę i jednocześnie dostrzegł na trzecim palcu ręki trzymającej tackę — pierścionek z tak wielkim kawałkiem czegoś — naśladowającego turkus, że się mimowoli uśmiechnął.

— Śliczności masz pierścionek! — zauważył ironicznie.

Zagadnięta zdawała się nie słyszeć tej uwagi — jak poprzednio przyjęła wymówkę bez wrażenia. Odwróciła się i odeszła.

Postać jej i chód mówiły wyraźnie: jest ktoś — kto czuł się szczęśliwym, iż mógł ozdobić serdelkowaty palec błękitnym kamyczkiem; ktoś — kto ze wszystkiego, co „panienka“ czyni jest zadowolony...



Telegrafista — przechylając się rytmicznie z nogi na nogę — dążył do bufetu. Kunsztowne zbakierowanie czapki, która niepojętym sposobem trzymała się na tyle starannie wypomadowanej głowy, i usta, złożone do cichego pogwizdywania — oznaczały człowieka szczęśliwego.

Dojrzała go „panienka” i cukier, który brała właśnie garścią z szuflady — zatrzymała w dłoni. Spojrzała sobie oko w oko. Kilka kawałków cukru upadło pod bufet. Rozwichtzona dama miała już wybuchnąć gniewem, ale przeszkodził temu telegrafista.

— Przepraszam, — rzekł — moje uszanowanie składał i do naparsteczka słusznie tak zwanego koniaczku pretenduję. Przy sposobności płacę oto za dzisiejszy smakołyk i za te grzechy — co są u pani spisane...

Dama czuła się rozbrojoną. Telegrafista, niosąc do ust kieliszek, mrugnął „panience” na znak, że pije za jej zdrowie.

Romuś zaczął uważnie przyglądać się tej „panience”. Była to dziewczyna dobrego wzrostu, silnej budowy, pełnej piersi, rozrosła w biodrach, nieco za gruba w pasie, a przecie ruchy miała zwinne i cała postać nie wyglądała ciężko. Rysy regularne, śmiało wykrojone usta, dobrze oprawne oczy jasne-połyskliwe, ciemna brew, trochę za niskie czoło, a nad niem bogactwo jasnych włosów z rudawym odcieniem.

— Kapitałnie postawiona, — orzekł Romuś, patrząc na jej stosunkowo niewielką i zgrabną nogę, — ręce tylko psują rysunek!

Rzeczywiście ręce były fatalne... Przemknął mu w myśli obraz żony: mała — delikatna ręka... Ale cała ta Zosia, teraz szczególnie „taka jakaś bez życia, blada, nikła”.

Zadzwoił łyżeczką w szklankę i zażądał jeszcze herbaty, a kiedy mu ją ta sama dziewczyna przynio-

sła, dobył z kieszeni papierową piątkę, położył na stole i rzekł półgłosem:

— Czekaj-no... reszta twoja... jak ci na imię?

Spojrzała na pieniądz, potem obrzuciła Romuśa śmiałymi oczyma, zsunęła brwi i, nie biorąc pieniędzy, odpowiedziała:

— Wszyscy mi tu mówią „panno Zośko”.

— A ten telegrafista bez gnatów — jak pannę Zośkę nazywa?

Wzięła papieraek ze stołu, nie patrząc na Romuśa, przyniosła resztę od bufetowej damy i oddaliła się, rzuciwszy śmiałym głosem:

— Drzwi do telegrafu z korytarza, na prawo. Może pan sam się spytać.

Podobała się Romusiowi ta odpowiedź, dlatego, że jej się nie spodziewał.

Z większą jeszcze niż poprzednio uwagą przyglądał się zdaleka Zośce i temu, co się koło bufetu działo.

Obok telegrafisty stał teraz jakiś mały urzędnik z pobliskiej fabryki: tegi chłopak w palonych butach i krótkim kożuszk, obaj raczyli się koniakiem, a skarby dowcipów zwracali do Zośki. Dziewczyna pomagała swej rozczochranej pani w obsługiwaniu bufetowych gości, a nie przeszkadzało to jej być grzeczną dla uprzejmej młodzieży. Uśmiech jej miał wiele wdzięku, w oczach tylko nie odbijała się wesołość: ładne były te wielkie oczy, ale jakieś dziwne. Romusiowi wydało się, że dziewczyna patrzy tak, jak gdyby chciała rozkazywać.

Podobała mu się ta Zośka. Czuł w niej zdrową siłę i hardość, które go pociągały.

W oczach stanęła mu jego Zosia — taka teraz powolna, apatyczna...

Zadzwoił.

— Proszę koniacu i sardynek.



Przyniosła mu je Zośka, nie spojrzawszy na niego ani razu. Kiedy ją później przywołał dla zapłacenia rachunku, do należności dołączył drugie tyle.

— Dla panny Zośki — rzekł — żeby pamiętała, że na telegrafii świat się nie kończy.

— Niewiele stąd świata widać! — zaśmiała się, błyskając jasnymi oczyma.

— Można wylecieć wyżej — szepnął.

— Dziękuję za piórko, — odpowiedziała, chowając pieniądze i odeszła szybko.

Romuś wyszedł też z sali, a że koni własnych jeszcze nie znalazł, najętą furmanką ruszył ku domowi.

Od tego dnia, ile razy tylko był na stacji, zawsze albo coś jadł, albo herbatę pił w bufecie. Przyjeżdżał zaś często, dwa — trzy razy w tygodniu, konno lub małym wózkiem, bez Józefa; najmłodszy z chłopców stajennych pilnował koni.

Nastaly jasne dni i ciepłe wieczory; wiosna weszła w swoje prawa; zazielenił się las, ciągnący się w bok od stacji ku sąsiedniemu miasteczku. W młodym zagajniku, niedaleko budki dróżnika, brzezina pokryła się pachnącymi listkami tak gęsto, że zasłoniła zupełnie wolne pomiędzy świerkami miejsca i, w biały dzień, nie widać było w zagajniku nic o dwa kroki. Z tego powodu żona dróżnika Marcina znalazła się w prawdziwym kłopotcie, kiedy jej wypadło szukać kury, która gdzieś się zapodziała. Trzy kury miała kobieta; raptem któregoś dnia — dwie kręciły się koło budki, a trzeciej nie było. Marcinowa wołała i szukała, klęła, łajała dzieci, potem znowu szukała dookoła domu, tymczasem kury jak nie było — tak nie było. Przed zmierzchem poszła na chybi-trafi do zagajnika. Do wieczornego pociągu było jeszcze dosyć czasu; Marcinowa nie potrzebowała się śpieszyć; przeszła ścieżką — przez cały zagajnik, aż na drugą stronę, na szerszą dróżkę. Kury nie znalazła; uwa-

żała, czy gdzie ptór nie ma, wykazujących jastrzębie morderstwo i tych nie było, ale na dróżce leśnej natrafiła niespodzianie na to, czego nie szukała: spotkała się raptem z jakąś parą młodych państwa. Kto był pan — nie wiedziała, panią — poznała.

Zapomniała o stracie kury, cofnęła się w gęstwinę i co tchu biegła do budki.

— Marciiin, słyszysz? Maaarcin! — wołała.

— Bo co? — odezwał się mąż, niechętnie wychodząc na plant. Wiedział od dzieci o zniknięciu kury, stąd cały wieczór, a w tem i kolacja, przedstawiał mu się w ciemnych kolorach.

— Marcin, wiesz?... Wiesz ty, com widziała? — wołała zadyszana, czepiając się obiema rękami Marcinowego kołnierza, w przekonaniu, że mówi pocichu do mężowskiego ucha. — Ta... ta... jak jej tam... ta z bufetu... aha... Zośka... z jakimś nowym jenzinierem — co go nie znam, w lesie... przy Ślepej dróżce... Żebym tak zdrowa była!

— Wielga rzecz! — mruknął Marcin i wzruszył ramionami. Kobieta nie dała za wygraną i krzyczała dalej:

— Ten jenzinier to taki był: ni mały, ni duży, czarny, z wąsami, młody... Pewnie nowy, jakiś przyjezdny, bom takiego tu nie widziała ni razu.

— I... i... i... jaki tam inżynier! Toć to dziedzic z Oleśni pewnie był; jego konie wierzchowe pod lasem stały jakem wtedy szedł; pytałem się chłopaka: gadał, że pan do lasu poszedł czegoś szukać.

Marcinowa nosiła co rano mleko na stację dla pomocnika zawiadowcy. Nic dziwnego, że nazajutrz, po śniadaniu, pomocnik mógł to, czego się od Marcinowej dowiedział, opowiedzieć telegrafistcie.

Ten — trzecim i pierwszym palcem prawej ręki klasnął parę razy z głośnym skutkiem, lewą ręką podrapał się w kolano i zawołał tryumfująco:



— A co? Nie mówiłem panu? Przecie ja oddawna już zauważyłem...

— Jasnie pan dziedzic dobrze się bawi! — rzekł ze zjadliwym uśmiechem pomocnik.

— Panie kolego, trzeba im zrobić jaką sztukę, trzeba coś wymyślić! — wołał telegrafista. — Jak mu na imię... temu z Oleśni?

— Jasnie pan Roman.

— A... Romuś... prawda, wiedziałem... Romuś!...

Telegrafista zepchnął z aparatu najpilniejszą robotę i pobiegł do bufetu.

— Gdzież nasza miła panna Zośka? — zapytał właścicielkę smacznych zapasów.

— Będą panowie musieli włożyć żałobę i tęsknić, — odparła zachmurzona dama, — Zośka już odjechała.

Telegrafista zrobił minę, którejby się z pewnością przed lusterkiem zawstydził.

Okazało się, że w nocy, po zamknięciu bufetu, Zośka podziękowała za miejsce; ponieważ jej pani nie zgodziła się na nagłe rozstanie, dziewczyna wyrzekła się należnej pensji i wymknęła się pierwszym rannym pociągiem, tak, że nikt tego nie spostrzegł.

— A kuferek? — jęknął telegrafista.

— Zabrała i kuferek... Musiała kogoś ze służby przekupić... Alboż to... to... ma jakie sumienie!...

Na stacji, na razie, zapanowało przygnębiające milczenie. Telegrafista nie szukał pana pomocnika, pomocnik nie zaczepiał telegrafisty, zawiadowca milczał — bo go w dalszym ciągu bolały zęby. Przez parę dni bardzo mały był ruch przy bufecie i chmur na damy stanowczo nie chciała dawać nikomu nic świeżego, dopóki trwały serdelki i jaja na twardo, jeszcze za czasów niewdzięcznej Zośki przygotowane.

Na szczęście przyjechała z Warszawy Felka i zaraz ożywiło się na sali.

Po przeszłości pozostała jedna tylko pamiętka: oto na szybie okna, koło którego siadywał często pan z Oleśni, znalazł się napis, silnie djamentem wyróżniony: „Zośka i Romuś”, pod spodem data wyjazdu panny Zośki.

Kto to napisał i kiedy — nikt nie wiedział i nikt się nigdy chyba nie dowie, choć sam pan zawiadowca piekło zrobił na stacji! Miała ta szyba, podobno, być wyjęta; miała nowa się wstawić na koszt... (były o tem długie dyskusje zawiadowcy z żoną, która dowodziła, że na stacji jedna tylko pani bufetowa miała djament prawdziwy w pierścionku, więc może ktoś od niej pożyczył...), ale jakoś powoli zapomniano o napisie, który do dziś dnia musiał przetrwać i stanowi źródło tajemnej uciechy telegrafisty — jeżeli ten nie został przeniesiony do Brześcia.

Po wyjeździe Zośki w Oleśni zaszła maleńka zmiana: Romuś nie pojechał na stację jednego dnia, nie pojechał drugiego, na trzeci dzień też tylko Józef przejeżdżał konie. Ale nikt nad tem się nie zastanawiał.

Panna Helena odebrała pewnego dnia, przed ganikiem, list, który przyniósł jakiś obdarty chłopak, dopytujący się koniecznie o „samą panią”. — Powiedziała mu, że jest właśnie ową panią i chłopak, nie czekając na datek, wysunął się za bramę. List wydał się pannie Helenie podejrzanym.

Pani Zosia była tego dnia nerwowa, niespokojna; panna Helena nie oddała jej listu, ale, wieczorem, sama go w kącie przeczytała, podarła na drobniutkie strzępki i wyrzuciła do śmieci.

Przy kolacji Romuś oznajmił, że musi jechać do Warszawy. Interesy, kupno żniwiarki, zawiązanie się spółki hodowli klusaków i t. d.

— Czy nie mógłbyś odłożyć wyjazdu? — pytała Zosia, — pojedź w czerwcu.



— Nie mogę... wróćę za kilka dni.  
— No, powiedz, kiedy wrócisz? Powiedz napewno... przyrzeknij: kiedy napewno?... — prosiła.

Oznaczył dzień powrotu.

— Nie zostajesz przecie sama, Zosieńko; panna Helena tak się tobą opiekuje, jak dzieckiem.

— Ale mi Helenka ciebie nie zastąpi. Ciebie mi nikt zastąpić nie może.

Położyła rękę na ramieniu męża i patrzyła mu w oczy.

— A ty, Romuś, będziesz o mnie pamiętał?

— Postaram się, — rzekł żartobliwie.

— Nie zakochasz się w Warszawie?

— Nie. Przyrzekam, panna Helena świadkiem.

— Jestem świadkiem, — odezwała się panna Helena. — Niechże pan teraz będzie ostrożny, bo my będziemy miały naszą policję, o ileby pan nie dotrzymał słowa, zaraz nam tu depeszę przyśle telegrafista ze stacji.

Wzrok jej spotkał się ze spojrzeniem Romusia. Zdawało się, że ten się zmieszał na krótką chwilę. Zosia tego nie dostrzegła i poszła spać w wybornym humorze, bo Romuś był nadzwyczaj wesoły i czuły, a uprzejmy do tego stopnia, że zagrał z nią w kabałkę i, skutkiem przegranej, obiecał przywieźć z Warszawy „coś modnego i ładnego”.

Stał się też w słowie: powrócił na dzień oznaczony, przywiózł modną parasolkę i pudło czekoladek.

W kilka dni po tym powrocie przyjechało do Oleśni dwóch żydów. Radzili coś długo z Romusiem. Po nich zjawiał znowu jakiś kupiec; następnego dnia jeszcze byli żydzi. Potem już nie przyjeżdżali. Romuś powiedział Zosi, że sprzedał „na zielono” pszenicę i jęczmień, i zrobił doskonały interes, dowiedział się bowiem w Warszawie, że zboże później — po żni-

wach — będzie za bezcen; drugi interes zrobił jeszcze świetniejszy — bo sprzedał młyn. Młynisko stare, nie było warte; wody mało, staw zarosły; żyd kupił — bo żyd ze wszystkiego potrafi grosz wyciągnąć. Dla dworu taki młyn — tylko kłopot i ciągła reparacja.

— A z pieniędzmi co zrobisz? — zapytała. — Ileż ci dali?

— Na zboże wziąłem trzy tysiące, tylko jako zadatek, a za młyn z łaką...

— Jakto z łaką? — przerwała.

— Ano dodałem parę morgów, tej gorszej, koło stawu...

— Więc ile za młyn?

— Dziewięć tysięcy!

— Romuś! to ogromna suma — razem dwanaście tysięcy! Gdzież ty to schowasz? Ja się boję... Mogą na dom napaść złodzieje...

— Pomyślałem o tem; wpadnę na jeden dzień do Warszawy i złożę do Banku.

Zosia nie mogła spać w nocy; zwierzyła się ze swoich obaw pannie Helenie i nazajutrz sama naogłoła męża do wyjazdu, a dla bezpieczeństwa dopilnowała, że zabrał z sobą rewolwer i kastet.

Lokacja pieniędzy nie zabrała Romusiowi wiele czasu: przegrał był w karty ośm tysięcy, wykupił weksel na trzy tysiące, które pozostał winien z poprzedniej bytności, trzysta ofiarował Zośce na zagospodarowanie się w mieście, coś tam dodał jeszcze — płacąc rachunek szwaczki i z jakąś resztą wrócił wygodnie, pierwszą klasą, do domu.

Pod koniec maja panna Helena wyjechała do brata, daleko, a jej miejsce zajęła matka Zosi. Wkrótce też potem paniom przybyło sporo zajęcia, bo Zosia musiała karmić syna, a babcia — uważać na każdy ruch wnuka.

Romusia bardzo ten syn zadowolił. Spodziewał



go się, a przecie mu się dziwił. Nie podobało mu się tylko — że panie nie chciały wziąć mamki. Zresztą te panie, od chwili zjawienia się dziecka, najmniej na Romusia nie zwracały uwagi: karmiły malca, kołysały, przewijały, śpiewały mu na różne tony i bawiły go ustawiczną rozmową — poważną i krótkochwilną na przemiany, zasypując pytaniami — na które same odpowiadały, — zupełnie tak — jak gdyby bawiły głuchego stryjskiego.

Romuś przekonał się naocznie, że nie miał najmniejszego pojęcia o tem: co to za kłopot w domu z małym dzieckiem! I przychodziło mu nieraz do myśli porównanie dziecka ze źrebkiem. Z porównania źrebku zawsze wychodziło zwycięsko.

— Dwutygodniowe — myślał — jakie to zgrabne, silne... jak zadem zdrowo w matkę kropi!

Zwierzył się z tem poważnem zestawieniem panu sędziemu, który przyjechał z małżonką winszować konsolacji.

— Cóż to ma do rzeczy? — zdziwił się sędzia, — uważasz mnie dobrze: co ma dziecko do źrebka? Nie rozumiem.

— Jakto, panie sędzio?... zwykłe porównanie...

Sędzia milczał przez chwilę i zdawał się bardzo szczegółowo rzecz rozważać, wreszcie rzekł:

— No, tak... jeżeli — uważasz mnie dobrze — z dziecka ma koń, osieł, czy baran wyrosnąć — to, rzeczywiście, szkoda zachodu!...

Sędzia nie rozumiał Romusia. Ten wprost zaczynał czuć się nieszczęśliwym dla tego, że w domu żona nie była jemu tylko wyłącznie oddana, a poza domem sam nie wiedział — co robić! Ratowała go stajnia, ale i tam Józef ciągle miał jakieś zajęcie, on zaś, Romuś — mógł tylko stać i patrzeć... i zaczynało go to już nudzić. Do ostatecznego zwątpienia nie pozwoliła mu dojść myśl o wyścigach i targu na weł-

nę. Wełny wprawdzie nie miał, jako, że nie trzymał owiec; koni wyścigowych też tymczasem nie miał; ponieważ jednak niekoniecznie potrzeba mieć wełnę, czy wyścigowce dlatego, aby pojechać do Warszawy, — więc pojechał.

Czekała go nadzwyczajna przyjemność: poznał Tola i Kota — tych dwóch sportowców, do zbliżenia się z którymi wzdychał zdaleka. Niestety, nie mógł grać z nimi, oni bowiem tylko w klubie grywali, a on do klubu jeszcze nie należał. Za to parę razy spotkali się na kolacyjkach. Tolo przyjeżdżał z Linką, Kot — z Rozą. Romuś odważył się pewnego wieczora, po teatrze, wystąpić z Zośką, którą — jako Zazę przedstawił.

Zośka nie zdejmowała wcale rękawiczek, pomimo to jednak nie robiła na obu panach i ich damach wielkiego wrażenia. W gabinecie było jeszcze trzech współtowarzyszów — bez przyjaciółek i ci, między sobą, zadecydowali jednak przychylnie:

— Rasowa nie jest, ale bardzo udatna!

Pierwszy wielki występ Zazy nie mógł się odbyć bez stosownego upamiętnienia. Romuś kazał stawiać wino i sam pił najwięcej. Ostatecznie, nad ranem, oświadczył, że cały rachunek za wszystkich płaci.

Był pijany i Zośka czuła się w obowiązku odwieźć go do hotelu. Rozrzewnienie Romusia nie miało granic: płakał — sławiąc dobre serce dziewczyny; dziękował za to, że wyrzekła się wszystkiego, aby mu dać szczęście; rzucił na ziemię pugilares, zaklinając się, że pieniądź nie ma żadnego znaczenia, w końcu rzucił się w ubraniu na łóżko i, przyciskając do kochającego serca długi jedwabny szal Zośki, — zasnął twardo.

Zośka podniosła pugilares; przekonała się, że zawierał mniej pieniędzy, niż potrzeba było na opła-



cenie hotelu i powrotu do domu, ale sporo biletów wizytowych i jej fotografię.

Zamyśliła się. Przez niezastłonięte okna do pokoju wchodziło już światło dzienne. Poszła do okna i stała tak dłuższą chwilę — dopóki nie dojrzała, że przed hotelem zatrzymała się pusta dorożka. Wtedy wsunęła pugłares do kieszeni śpiącego przyjaciela i wybiegła pospiesznie z pokoju, zostawiając szal pamiątkowy.

Nie mógł jej Romuś zastać w domu nazajutrz. Następnego dnia otrzymał list, w którym Zośka donosiła mu, że „z jednym derektorem” wyjeżdża do „Brześcia czy Pieńska” — dobrze nie wie „jak wypadnie”. Nie dowiadywał się — czy i kiedy wyjechała i nie miał czasu na żalność, cały bowiem swój czas i uwagę musiał poświęcić na wynalezienie nowego źródła kredytu.

Nie dostrzegł nawet tego, że owocem pożegnanych rozmyślań dobrej Zazy pozostał na środkowej szybie okna, wychodzącego na ulicę, po krzywej linii — kłótliwymi literami wyryty napis: „Romuś—Zośka”. Od którego z przyjaciół otrzymała Zośka djament — nie wiadomo. Napis — małeńka pamiątka — pozostał bez daty.

Kiedy w parę miesięcy później sędzia, ze stron Oleśni przybyły, odwiedzał w tym hotelowym pokoju mieszkającego znajomego, ten jegomość spojrział w okno i nagle zagadnął:

— Mój sędzio, czy niema, u licha, w kodeksie takiego paragrafu, któryby pozwalał pakować do kozy tych, którzy swoje głupie imiona, czy nazwiska wypisują na szybach, na stołach, na ławkach... wszędzie!

Sędzia roześmiał się dobrodusznie i milczał. Tamten irytował się w dalszym ciągu:

— Mnie, panie, do pasji doprowadzają takie na-

pisy! Kiedyś — pamiętam — w wagonie, na szybie, wciskała mi się w oczy pamiątka „Zosia—Romuś”! Teraz znowu... patrz pan!... te same bezmyślne imiona — „Romuś. Zośka”. Złajałem wczoraj służbę... Jest to wprost nie do zniesienia! Płaczę za pokój i muszę czytać to, co jakiś osieł pisał!...

Sędzia ruszył się, aby sprawdzić napis i zawołał:

— Już wiem! Może być, że to młode małżeństwo z naszych okolic... on — Roman, ona Zofja... bardzo się kochają... uważasz mnie dobrze — cieszą się sobą...

— Ja tam za taką miłość, która się na szybach uwiecznia, dziękuję! — przerwał niecierpliwy jegomość i zmienił przedmiot rozmowy.

Sędzia jednak był pobłażliwy i myślał:

— Uczucie — byle szczere — niech będzie jawne! Kochają się... no to dobrze, niema z czym się ukrywać... On trochę tego... ale się przy niej ustatkuje... Dziecko ich zwiąże...

A mniej więcej w tym samym czasie, w oleśnickim dworze, Zosia, z dzieckiem na rękę, stała obok męża i mówiła:

— Chciałabym mieć naszą fotografię, ot — tak, jak teraz stoimy: mój Romuś, twoja Zosia i nasz Romeczek!





103310